

Dziewczę ze Słonecznego Wzgórza



BJÖRNSTJERNE BJÖRNSON

Dziewczę ze Słonecznego Wzgórza

TŁUM. FRANCISZEK MIRANDOLA

I

Pośród wielkich dolin Norwegii znajduje się gdzieś odosobnione duże wzniesienie, które słońce oświetla przez cały dzień, od wschodu aż do zachodu. Mieszkańcy siedzących bliżej stoków górskich, niezalewanych tak hojnie potokami słońca, zowią takie wzniesienia *Solbakken* — czyli słonecznymi wzgórzami. Ta, o której opowiedzieć tu zamierzam, mieszkała właśnie na takim wzgórzu, w zagrodzie nazwanej *Solbakken*. Śnieg w jesieni spadał tam najpóźniej, zaś z wiosną topniał najwcześniej.

Właściciele zagrody byli wyznawcami sekty religijnej Haugego i zwano ich badaczami Pisma Świętego, jak zresztą wszystkich sekciarzy, którzy gorliwiej od innych rozczytywali się w *Biblii*. Gospodarz nosił imię Guttorm, jego zaś żona — Karen. Pierworodny syn umarł im zaraz po urodzeniu i odtąd przez trzy lata noga ich nie postąpiła w tej stronie kościoła, w której stała chrzcielnica. Po tym czasie przyszła na świat córeczka. Na pamiątkę pierworodnego syna chcieli jej nadać imię podobne. Ponieważ on był ochrzczony jako Sywert, ona otrzymała na chrzcie imię Synnów. Nie mogli oboje wymyślić nic bardziej podobnego. Ale matka zwała córkę Synnów, gdyż przemawiała tak do niej, kiedy była małeńka. Twierdziła, że łatwiej mówić: — Moja Synnów, niż: — Moja Synnów. Ostatecznie, gdy dziecko podrosło, wszyscy za matką zwali ją Synnów. Panowało ogólne przekonanie, że jak daleko sięgnąć mogą pamięcią najstarsi, nie było w okolicy piękniejszego dziewczęcia od Synnów ze Słonecznego Wzgórza.

Była jeszcze małeńka, a już brali ją rodzice ze sobą do kościoła w każdą niedzielę, gdy tylko proboszcz miał kazanie. Zrazu co prawda nie rozumiała nic z tego, co mówił, myśląc jedynie, że proboszcz pomstuje na znanego obwiesia Benta, siedzącego pod samą kazalnica. Ojciec jednak nie zaniechał zabierania małej do kościoła, chcąc, by się, jak mówił, „przyzwyczajala”; matka zaś nie sprzeciwiała się temu — gdyż „Bóg wie, co się jej w domu może przytrafić”. Ile razy nie chciało się u nich chować jagnię, koza czy prosię, ile razy zachorowała krowa — zawsze tę sztukę darowano małej na własność i matka twierdziła stanowczo, że od tego dnia wszystko zmieniało się na lepsze. Ojciec nie dawał temu wiary, ale było mu wszystko jedno, czyje było bydłatko, byle tylko nie chorowało.

W drugim końcu doliny, u samego podnóża wysokiej skały, leżała zagroda zwana *Granlien* — czyli Zboczce Świerkowe — nazwana tak od sporego lasu świerkowego, który ją otaczał. Był to jedyny tego rodzaju las w okolicy. Pradziad obecnych właścicieli był swego czasu wojakiem i przez jakiś okres przebywał w Holsztynie zagrożonym przez Rosjan. Z tej wyprawy przyniósł sobie w tornistrze różnego rodzaju nasiona zagraniczne i posiał je w pobliżu swej posiadłości. Z biegiem czasu jednak wszystkie rośliny zmarniały z wyjątkiem świerków, które wyrosły z ziarna szyszek zebranych przypadkowo. Z tych świerków, które się dobrze zakorzeniły, powstał las ocieniający teraz budynki zagrody ze wszystkich stron.

W rodzinie panował od niepamiętnych czasów zwyczaj, że najstarsi synowie zwali się na przemian — Torbjörn i Sämund. Wspomniany wojak na pamiątkę dziada otrzymał na chrzcie imię Torbjörn, zaś najstarszemu swemu synowi dał na imię Sämund — jak się zwał ojciec. Taka już była tradycja. Podobno — jak głosiła legenda — w *Granlien*

Ojciec, Syn, Dziedzictwo,
Dziecko, Szczęście,
Przemoc

szczęście sprzyjało tylko co drugiemu właścicielowi i właśnie nie temu, który nosił imię Torbjörn.

Ostatni właściciel, Sämund, z chwilą narodzin syna zastanawiał się głęboko, co uczynić. Ale po długim dumaniu doszedł do przekonania, że niepodobna zrywać z tradycją rodzinną i dał synowi imię Torbjörn. Potem jednak zaczął ponownie dumać, czy nie można by wychować chłopca w ten sposób, by go uchronić od niepowodzeń, które mu niesły tradycja i ludzka gadanina. Nie był pewny, czy mu się to uda, ale zauważywszy w chłopcu skłonność do krnąbrności, powiedział żonie: „To muszę zeń wykorzenić!”. Brał tedy od czasu do czasu do ręki różgę i zmuszał trzyletniego malca do układania porozrzucanych ze złości polan drewna, podnoszenia kubka, który cisnął o ziemię, lub głaskania kota, którego wytargał za ogon. Żona spostrzegłszy, iż mąż wpada w taki nastrój, wychodziła zazwyczaj z domu.

Dziwiło to Sämunda, że w miarę jak chłopcu przybywało lat, coraz więcej było w nim wad do wykorzenienia, mimo iż postępował z nim coraz to surowiej. Zawczasu zasadził go do abecadła, a także zabierał go ze sobą w pole, by go nie tracić z oczu. Matka zajęta gospodarstwem i drobnymi dziećmi poprzestawała na gładzeniu syna po policzkach i udzielaniu zbawiennych rad co rano przy ubieraniu. Poza tym wstawiała się za nim do ojca, ile razy w niedzielę i święto siedzieli oboje w domu na poufnej pogawędce.

Torbjörn, który za byle co zawsze dostawał w skórę, nawet za to, że *a b* nie brzmiało — jak mówił — *ba*, ale *ab*, lub za to, że chciał zbić małą Ingrid tak samo, jak jego bił ojciec — rozmyślał nad dziwną zagadką, dlaczego jemu jest tak źle, a jego młodszemu rodzeństwu tak dobrze na świecie.

Przebywając ciągle z ojcem, a nie ośmielając się z nim dużo rozmawiać, stał się mało-mówny, ale za to dużo myślał. Pewnego dnia, kiedy byli zajęci przewracaniem suszącego się siana, wyrwało mu się pytanie:

— Czemuż to w Solbakken siano dawno już suche i zwiezione, a u nas mokre?

— Bo tam więcej słońca niż u nas! — odparł ojciec. Torbjörn po raz pierwszy w życiu uświadomił sobie, że znajduje się poza sferą słoneczną, poza owym błogosławionym, oblanym jasnością osiedlem, które tak często pociągało jego oczy. Od tego dnia coraz częściej spoglądał ku Solbakken.

— Czemuż się znowu gapisz? — pytał ojciec, dając mu szturchańca. — Tutaj w Granlien musimy pracować wszyscy, młodzi i starzy, by nie zejść na psy.

Gdy Torbjörn miał lat siedem, odprawił Sämund parobczaka i przyjął innego, imieniem Aslak, który zwiedził pono dużo świata, mimo iż był zaledwie wyrostkiem. Tego wieczoru, kiedy Aslak przybył, Torbjörn leżał już w łóżku. Nazajutrz siedział przy stole i uczył się. Nagle ktoś otworzył drzwi z takim hałasem, jakiego Torbjörn w życiu nie słyszał. Do izby wszedł Aslak. Niósł olbrzymią naręcz drzewa opałowego i rzucił ją na podłogę z taką siłą, że polana rozleciały się na wszystkie strony, podskakiwał wysoko i tupał, by otrząsnąć śnieg z obuwia, a przy każdym kroku powtarzał:

— „Oj zimno!” mówiła narzeczona krasnoludka, siedząc po pas w lodzie!

Ojca nie było w domu. Matka zmiotła śnieg i nic nie mówiąc, wyniosła go z izby.

— Cóż tak wytrzeszczasz ślepią? — powiedział Aslak.

— Nie wytrzeszczam! — odrzekł Torbjörn ze strachem.

— Czy widziałeś koguta, którego masz tam wymalowanego w książce? — spytał Aslak.

— Tak! — odparł Torbjörn.

— Gdy zamkniesz książkę, zlatuje się do niego mnóstwo kur! Czyś to widział?

— Nie!

— To zobacz!

Chłopak otworzył książkę.

— Osiół jesteś! — krzyknęła Aslak z pogardą.

Od tej chwili miał na Torbjörna wpływ ogromny.

— Nic nie wiesz! Nic nie umiesz! — oświadczył raz Torbjörnowi, który dreptał za nim ciągle, chcąc wiedzieć, co robi.

— Umieję katechizm aż do czwartego rozdziału! — odparł chłopiec dumnie.

— Ba! To głupstwo! Ale nie znasz historii o krasnoludku, który tańczył z dziewczyną od świtu do zachodu słońca, a potem pękł jak ciele, które napilo się kwaśnego mleka.

Torbjörn nigdy w życiu nie słyszał tylu mądrych rzeczy na raz.

— Gdzież to było? — spytał.

— Gdzie?... Ano... To było... Tak... Tak, to się stało tam naprzeciwko, w Solbakken.

Torbjörn wytrzeszczył oczy.

— A czy słyszałeś o człowieku, który się zaprzedał diabłu za parę starych butów?

Torbjörn zaniemówił ze zdumienia.

— Pewnie chcesz wiedzieć, gdzie się to stało? — pytał Aslak. — Ano także w Solbakken, ot tam, nad strumieniem, który stąd widać. Boże, bądź miłościwi! — dodał po chwili. — Ładny z ciebie, widzę, chrześcijanin! Założę się, że nie wiesz nic o Kari, co miała drewnianą spódnice?

Torbjörn nie słyszał o niej rzeczywiście.

Aslak pracował żwawo i rozprawiał przy tym wesoło o Kari w drewnianej spódnicy, o młynie mielącym sól na dnie morza, diable w sabotach, o krasnoludku, któremu rozłupany pień drzewa przyskrzytnił brodę tak, że nie mógł się ruszyć, o siedmiu zielonych pannach, które wyrwały śpiącemu Piotrkowi kłusownikowi włosy z łydek, a mimo to nie mogły go zbudzić... Słowem gadał różne cudactwa, a wszystko to miało się stać tam... w Solbakken.

— Cóż się, na miły Bóg, stało chłopcu? — dziwiła się na drugi dzień matka. — Od samego rana klęczy na ławce i wpatruje się w Solbakken.

— Rzeczywiście, gapi się jak cielę na malowane wrota! — powiedział ojciec.

Leżał na łóżku i odpoczywał całe poobiedzie, była to bowiem niedziela.

— Ludzie powiadają — zauważył od niechcienia Aslak że jest zaręczony z Synnöwe Solbakken! — i dodał: — Ale ludzie gadają często głupstwa!

Torbjörn nie zrozumiał dobrze, co mówi Aslak, ale mimo to zarumienił się po uszy. Usłyszawszy tę uwagę, zszedł z ławki, wziął katechizm i zaczął się uczyć.

— Dobrze robisz! — powiedział Aslak. — Pociesz się słowem bożym, bo i tak jej nigdy nie dostaniesz!

Minęło z pół tygodnia i Torbjörn sądził, że ta niedzielna sprawa poszła w zapomnienie. Pewnego dnia spytał matki po cichu — wstydził się bowiem...

— Mamo! Kto to jest Synnöwe Solbakken?

— To mała dziewczynka, która kiedyś będzie właścicielką Solbakken.

— Czy ona ma drewnianą spódnice? — pytał już śmieiej.

Matka spojrzała nań zdumiona.

— Co to znaczy? — spytała.

Czuł, że powiedział głupstwo i zamilkł.

— Nie ma chyba na świecie — mówiła matka — piękniejszego dziecka. To jest nagroda Pana Boga za to, że zawsze jest dobra, grzeczna i pilnie się uczy.

Dowiedział się zatem i tego.

Pewnego dnia pracował Sämund z Aslakiem w polu. Po powrocie do domu rzekł do syna:

— Zabraniam ci od dnia dzisiejszego zadawać się z Aslakiem.

Ale Torbjörn nie zważał na ten zakaz. Po jakimś czasie tedy odezwał się ojciec:

— Jeśli cię kiedy jeszcze zobaczę z tym nicponiem, to popamiętasz!

Od tego czasu włóczył się za Aslakiem potajemnie. Pewnego jednak dnia ojciec przyłapał ich na pogawędce.

Torbjörn dostał w skórę i został odesłany do domu. Odtąd spotykali się wówczas jeno, kiedy ojca nie było w domu.

Pewnej niedzieli, gdy ojciec był w kościele, Torbjörn dokazywał z Aslakiem. Rzucali się śniegiem.

— Nie... — zaprotestował w końcu Torbjörn, dostawszy parę kul w twarz i głowę.

— Mam tego dosyć! Rzucajmy w coś innego.

Aslak się zgodził i zaczęli rzucać w małą sosnę stojącą obok lamusa¹, potem w drzwi, a na koniec w okno budynku.

— Nie rzucaj w szybę — ostrzegł Aslak — tylko w ramę!

¹lamus — składzik; budynek gospodarczy do przechowywania narzędzi, sprzętów gospodarczych i rzadko używanych rzeczy. [przypis edytorski]

Ale Torbjörn rozbił szybę i natychmiast pobladł ze strachu.

— Ba! Któż się o tym dowie? — pocieszał go przyjaciel. — Rzucaj dalej!

Torbjörn rzucił znów i rozbił drugą.

— Nie będę już rzucał! — oświadczył. W tej chwili ukazała się w drzwiach najstarsza siostra Torbjörna, mała Ingrid.

— Rzucaj w nią! — powiedział Aslak.

Torbjörn był podniecony i usłuchał. Dziewczynka zaczęła płakać, a na ten głos wyszła matka i zabroniła mu tej zabawy.

— Rzucaj dalej! — namawiał go Aslak.

I Torbjörn rzucił jeszcze raz.

— Oszalałeś, chłopcze? — zawołała matka i skoczyła ku niemu.

Zaczął uciekać, matka za nim i tak gonili się wokół podwórza. Aslak śmiał się, a matka miotała pogrożki. Na koniec dopadła go w jakiejś zaspie i zamierzała wygarbować mu skórę.

— Niech mama mnie nie bije — krzyknął — bo oddam! Taki tu jest zwyczaj!

Przeżona matka opuściła rękę i powiedziała:

— Tego cię nauczył Aslak!

Wzięła go spokojnie za rękę i zaprowadziła do domu. Nie odezwała się doń ni słowem, zajęła się młodszymi dziećmi i powiedziała im, że niedługo ojciec wróci z kościoła.

W izbie zrobiło się nagle jakoś gorąco. Aslak poprosił o pozwolenie odwiedzenia krewniaka i otrzymał je natychmiast. Gdy wyszedł, odwaga do reszty opuściła Torbjörna. Zaczęły go brać mdłości i całe ciało oblało się potem. „O, żeby to matka nic nie mówiła ojcu!...” myślał, ale nie mógł się przezwyciężyć, by ją o to poprosić. Kręciło mu się w głowie. Wszystko tańczyło mu przed oczyma, a zegar tykał wyraźnie: „Ba-ty, ba-ty, ba-ty!”.

Nie mógł wytrzymać, wylazł na ławę i spojrzał ku Solbakken. Było ciche, przysypane śniegiem, połyskiwało w słońcu wszystkimi szybami. O, tam nie brakło na pewno ni jednej! Dym wznosił się rażno w górę. Zapewne gotowano posiłek dla tych, którzy mieli wrócić z kościoła. A Synnöwe? Oczekuje niewątpliwie ojca... ale nie dostanie w skórę... o nie... gdy wróci do domu.

Nie wiedział, co ze sobą zrobić, i nagle wezbrało w nim uczucie wielkiej serdeczności dla sióstr i podarował małej Ingrid najpiękniejszy, połyskujący guzik otrzymany w podarunku od Aslaka.

— Droga Ingrid — pytał — czy gniewasz się jeszcze na mnie?

— Nie, Torbjörnie! — odparła uszczęśliwiona. — Pozwalam ci nawet rzucać śniegiem we mnie, jak długo ci się będzie podobało.

Naraz usłyszał tupanie w sieni. Ktoś otrzepywał śnieg z nóg... Tak, to ojciec.

Wszedł. Miał minę łagodną i wesołą... A to było jeszcze gorsze!

— No i cóż? — spytał, rozglądając się wokoło. Torbjörn dziwił się bardzo, że zegar nie spadł w tej chwili ze ściany. Matka postawiła ojcu jedzenie.

— No, cóż słyhać w domu? — spytał ojciec, zasiadając przy stole i biorąc łyżkę.

Torbjörn spoglądał na matkę, a w jego oczach ukazały się łzy.

— Ooo... wszystko dobrze! — odparła matka przeciągając to „ooo” niezmiernie długo. Czuł dobrze, że chce powiedzieć coś więcej. Ale dodała tylko: — Pozwoliłam wyjść Aslakowi.

„Teraz się zacznie” — pomyślał Torbjörn i zaczął bawić się z Ingrid z takim zapalem, jak gdyby go poza tym nic na świecie nie obchodziło.

Nigdy nie zużył jeszcze ojciec tyle czasu na jedzenie. Torbjörn rachował kęsy, gdy zaś doszedł do czwartego, zapragnął przekonać się, do ilu doliczyć potrafi między czwartym a piątym... i stracił w ten sposób rachubę. Na koniec ojciec wstał i wyszedł na dwór.

„Szyby... szyby... szyby!...” — tętniło w uszach chłopca i mimo woli rozejrzał się po izbie, czy i tu jakiejś nie brak. Ale nie, wszystkie były całe.

Po chwili wyszła matka. Torbjörn wziął małą Ingrid na kolana i powiedział do niej tak czule, że aż zdziwiona spojrzała mu w oczy:

— Chcesz, byśmy się zabawili w królowną na łące?

Dziewczynka zgodziła się z pośpiechem, a Torbjörn zaśpiewał, czując, że nogi drżą pod nim:

Kwiateczku mały,
Śliczny kwiateczku,
Czy chcesz być moim kochankiem?
Dostaniesz płaszczyk nowy,
Czerwony, atlasowy,
Złotem przybrany,
Perłami haftowany.
Tralala... tralala... tralala...
Królowny słuchać trza!

Ingrid odpowiedziała:

Królowno mała,
Śliczna królowno,
Nie chcę być twoim kochankiem,
Nie nęci mnie płaszcz nowy,
Czerwony, atlasowy,
Złotem przybrany,
Perłami haftowany.
Tralala... tralala... tralala...
Nie chcę królowno ma.

Właśnie w najpiękniejszym miejscu zabawy wszedł ojciec i spojrzął ostrym wzrokiem na syna. Torbjörn przycisnął do siebie mocniej Ingrid i — o dziwo — nie spadł z krzesła. Ojciec odwrócił się od niego bez słowa.

Minęło pół godziny, a ojciec milczał i Torbjörn uczył ulgę, ale nie śmiał jeszcze wierzyć, że mu to ujdzie na sucho. Nie wiedział, co myśleć o tym wszystkim, i gdy ojciec sam pomagał rozbierać go do snu, zaczął drzeć na całym ciele. Ojciec pogładził go czule po włosach i policzkach. Nie zdarzyło się to nigdy jeszcze, jak mógł sięgnąć pamięcią, toteż ciepło objęło jego serce i całe ciało, trwoga przeminęła i stopniała jak lód w słońcu.

Sam nie wiedział, jak się dostał do łóżka. A ponieważ radości swej nie mógł objawić ani śpiewem, ani okrzykami, przeto złożył ręce i po cichuteńku odmówił „Ojcze nasz” sześć razy naprzód i sześć razy wstecz, a zasypiając czuł, że na całym bożym świecie nie ma człowieka, który by dlań był tym, czym ojciec.

Nazajutrz obudził się z okropnym strachem. Nie mógł krzyczeć, ale wiedział, że teraz oto spadną nań ciężki. Otwarł oczy i przekonał się z ogromną ulgą, iż to był jeno sen. Niebawem zauważył, że w skórę dostanie ktoś inny, mianowicie Aslak.

Sämund spacerował tam i z powrotem po izbie, a takie jego kroki znał Torbjörn doskonale. Krępy, trochę za niski, ale silny chłop spozierał raz po raz spod krzaczastych brwi na Aslaka i nie ulegało wątpliwości, że groźna burza wisi w powietrzu. Aslak siedział na wielkiej beczce i bujał nogami, czasem podwijając jedną pod siebie. Ręce jak zwykle trzymał w kieszeniach spodni, a czapkę nasunął na czoło i oczy tak, że włosy sterczały mu po obu stronach, a oczu widać nie było. Skrzywione zazwyczaj grymasem usta były dzisiaj jeszcze bardziej krzywe.

Po długim milczeniu Aslak zaczął pierwszy:

— Wasz syn, gospodarzu, zwariował! Ale jeszcze gorsza rzecz, że ktoś na waszego siwka rzucił czary.

— Ty łajdaku bezwstydy! — wrzasnął Sämund, aż zadudniło w izbie.

Aslak przekrzywił głowę na bok, a Sämund chodził dalej tam i z powrotem.

— Naprawdę koń jest zepsuty przez czary... — zaczął znów Aslak badając, jakie wrażenie wywołają te właśnie słowa.

— Czary... naturalnie, że czary! — wrzasnął Sämund. — A któż to zrobił, jak nie ty, drabie jeden? Ścinałeś w lesie drzewo i spuściłeś je na konia... oto powód, dlaczego teraz nie chce ciągnąć!

Aslak słuchał spokojnie przez jakiś czas, a potem rzekł:

— Wierzcie sobie w to. Wiara nikogo nie hańbi. Ale wątpię, czy dlatego koń przyjdzie do siebie!

Aslak posunął się jednocześnie na beczce i osłonił twarz ręką.

Sämund przystąpił doń blisko i powiedział głosem przyciszonym, zwiastującym wściekłość:

— Jesteś ostatniego rzędu...

— Sämund! — rozległo się wołanie żony, Ingeborgi.

Uspokajała męża i jednocześnie niemowlę przy piersi, które przerażone zabierało się do płaczu.

Dziecko uspokoiło się i Sämund także. Podsunął tylko pod nos Aslaka pięść — może nieco za małą w stosunku do rozmiarów ciała — i pochylony nad nim wiercił go na wylot ostrym spojrzeniem.

Potem rozpoczął na nowo wędrówkę po izbie, rzucając od czasu do czasu okiem na Aslaka, który pobladł. Mimo to stronę twarzy zwróconą do Torbjörna wykrzywił drwiącym grymasem, podczas gdy druga strona — zwrócona do Sämunda — pozostała spokojna.

— Boże, uzbrój nas w cierpliwość! — westchnął po chwili Aslak z szyderstwem, ale równocześnie uniósł w górę łokieć dla odbicia spodziewanego ciosu.

Sämund przystanął. Tupnął tak, że beczka wraz z Aslakiem podskoczyła w górę, i krzyknął co sił w piersiach:

— Nie wymieniaj Jego imienia... ty...

Ingeborga przybiegła wraz z dzieckiem i chwyciła męża za rękę. Nie spojrział na nią, ale opuścił ramię. Ona siadła, a on znowu zaczął przemierzać izbę krokami. Przez czas dłuższy trwało milczenie, a Aslak, nie mogąc wytrzymać, odezwał się:

— O tak... *On* miałby dużo do roboty w Granlien, ho, ho!

— Sämund! Sämund! — krzyknęła błagalnie Ingeborga, ale on rzucił się już z wściekłością na Aslaka. Ten wysunął w obronę nogę, lecz Sämund chwycił jedną ręką za nią, a drugą za kołnierz chłopaka, podniósł go w górę i cisnął z taką siłą w zamknięte drzwi, że kwatery drzewa wypadły z osady, a za nimi wyleciał do sieni sam Aslak.

Matka, Torbjörn i wszystkie dzieci krzykiem błagały o zmiłowanie dla Aslaka, cały dom rozbrzmiewał wrzaskami, ale Sämund nie słuchał, wybiegł za chłopakami, podjął go z ziemi, wyniósł na podwórze, podniósł w górę i grzmotnął nim powtórnie o ziemię. Ale spostrzegłszy, że w miejscu, gdzie leży, jest za dużo śniegu, by się mógł porządnie potłuc, przycisnął mu kolanem piersi i walił przez chwilę po twarzy, potem niby wilk niosący zdobycz podjął go ponownie i cisnął na twardą ziemię. Tutaj przywarł go znów kolanem i zaczął okładać.

Kto wie, jakby się to skończyło, gdyby nie Ingeborga, która z niemowlęciem na rękę odciągnęła męża od nieszczęsnej ofiary.

— Sprowadzisz nieszczęście na nas wszystkich! — krzyknęła i to otrzeźwiło Sämunda.

W chwilę potem Ingeborga siedziała w izbie. Torbjörn ubierał się, ojciec chodził znowu tam i z powrotem, popijając od czasu do czasu wodę. Ale ręce tak mu się trzęsły, że woda rozbryzgiwała się po ziemi. Aslak się nie pokazywał, więc Ingeborga chciała zobaczyć, co się dzieje.

— Zostań! — warknął Sämund głucho, jakby mówił do kogoś obcego.

Po chwili jednak wyszedł sam i nie wrócił rychło. Torbjörn wziął książkę i uczył się pilnie, nie podnosząc oczu, mimo że nie rozumiał ani jednego słowa z tego, co czytał.

Potem powrócił znów dawny ład, wszyscy się uspokoili, ale nikt nie mógł się oprzeć wrażeniu, że przed godziną był w domu ktoś obcy i straszny. Torbjörn ośmielił się wreszcie wychylić za próg i natknął się na Aslaka, który pakował swe manatki na sanki, będące zresztą własnością Torbjörna. Chłopiec patrzył przerażony, bo Aslak strasznie wyglądał. Cała twarz i znaczna część odzieży pokryte były krwią. Kaszłał i obmacywał swą pierś. Spoglądał przez chwilę na Torbjörna w milczeniu, a potem krzyknął:

— Wynoś się, nie zniosę twego widoku!

Siadł na sanki jak na konia i zjechał ze spadzistego wzgórza.

— Długo poczekaś na swoje sanki! — wrzasnął jeszcze z oddali, odwracając się i pokazując mu język.

Takie było pożegnanie Aslaka.

Przemoc, Męczyzna,
Przemiana

Coś w tydzień po tym zjawił się w Granlien policjant. Później ojca często nie bywało w domu. Matka płakała, a potem i ona często była nieobecna.

— Co to znaczy? — spytał raz Torbjörn matkę.

— To wszystko przez Aslaka! — odparła.

Pewnego dnia przyłapano małą Ingrid, jak śpiewała:

Już mi życie się zmierzilo,
Wszystko się tu przewróciło!
Córka skacze jak szalona,
Syn się gapi jakby wrona,
Siedzi w oknie istny kolek,
Jest to wariat i matolek!
Matka w jadło miast słoniny
Leje wodę bez przyczyny!
Ojciec, leń, na łóżku leży,
Tyle, że w swą *Biblię* wierzy!
Kot, najmędrzy w całym domu,
Spija mleko po kryjomu!

Rodzina

Oczywiście zarządzono śledztwo, skąd się nauczyła tych wierszy. Wyznała, że słyszała je od Torbjörna. On zaś przerażony oświadczył, że nauczył go tej piosenki Aslak.

— Jeśli będziesz to śpiewał lub uczył innych — powiedział ojciec — dostaniesz lanie!

Niedługo potem zaczęła mała Ingrid kłąć. Torbjörn został wzięty na spytki i Sämund zawyrokował, że najlepiej mu zaraz wygarbować skórę. Ale chłopiec wypraszał się i czynił tak piękne obietnice, że uniknął tym razem kary.

Następnej niedzieli powiedział doń ojciec:

— Nie będziesz dzisiaj wyprawiał głupstw w domu! Pójdiesz ze mną do kościoła!

II

W myślach i uczuciach chłopca szczególnie wybitną pozycję zajmuje kościół. Jest to miejsce święte, chronione przed zgiełkiem świata podniosłą ciszą otaczającego je cmentarza, a wewnątrz tryskające żywym nabożeństwem. Jest to jedyny budynek w całej dolinie odznaczający się przepychem, a jego wieża ma dlatego zasięg znacznie szerszy, niżby się mogło wydawać. Już z dala dzwony witają chłopa idącego drogą w pogodny ranek niedzielny, a przy ich dźwiękach zdejmuje on zawsze kapelusz, jak gdyby chciał powiedzieć: „Dziękuję za wszystko!”. Między chłopem a tymi dźwiękami istnieje jakiś związek, którego tajemnice trudno zgłębić.

Już jako małe dziecko, stojąc w otwartych drzwiach chaty, wchłaniał je z nabożeństwem, a w dole wierni ciągnęli cicho drogą. Ojciec dołączał do nich, on jednak był jeszcze za mały. W duszy dziecka powstawały najrozmaitsze obrazy pod wpływem ciężkich, silnych uderzeń dzwonów, które rozbrzmiewały władczo wśród gór przez całą godzinę lub i dłużej jeszcze, a echo wtórowało im po obu stronach doliny. Jeden wszakże obraz łączył się nierozdzielnie z ich tonami: czyste, piękne stroje, konie wyczyszczone jak najstaranniej, w błyszczących szorach².

A kiedy nadejdzie owa niedziela, gdy on sam w nowiuieńkim, może cokolwiek zbyt obszernym dla niego ubraniu kroczyć będzie dumnie przy boku ojca, idąc po raz pierwszy do kościoła, dzwony rozdzwonią się radośnie nad jego szczęściem, radość będą głośić naokoło. Roztworzą one przed jego oczyma podwoje na wszystko, co ma ujrzeć. A gdy będzie wracał z głową ciężką jeszcze i rozkołysaną przez śpiewy, nabożeństwo, kazanie, pełną przeżywanych równocześnie wrażeń wzrokowych, jak obraz w ołtarzu, stroje, osoby, wtedy dźwięki dzwonów utworzą sklepienie nad całością wrażeń i uświęcą ten kościół, który na stałe zajmie miejsce w jego sercu.

Podrósłszy cokolwiek będzie musiał pójść z bydłem w góry. I gdy w rażny, spowity oparami mgieł ranek niedzielny siedzieć będzie na skale, dając baczenie na inwentarz, i usłyszysz dźwięki dzwonów kościelnych zagłuszających porykiwanie zwierząt, ogarnie go

²szory — uprzęż koni pociągowych. [przypis edytorski]

smętek. Przecież te dźwięki przynoszą mu z doliny coś bardzo miłego, lekkiego, wabiącego — myśl o znajomych sprzed kościoła, radość z pobytu wśród nich, większą jeszcze, niżby się tam było samemu, zapach niedzielnego obiadu w domu, widok matki, ojca, rodzeństwa, wspomnienie wesołej zabawy w spokojny wieczór niedzielny... biedne serce zbuntuje się w piersi. Bo tu nic z tego wszystkiego — tylko dźwięki dzwonów kościelnych! Zbierze więc swe myśli i przypomni sobie jakiś urywek pieśni nabożnej. Zaśpiewa ją ze złożonymi rękoma, ze wzrokiem zwróconym ku dolinie, odmówi potem krótką modlitwę — i zerwie się z miejsca, i zadmie radośnie w swą drewnianą trąbę pastuszą, aż echo odezwie się po skałach.

Tu, w tych cichych górskich dolinach kościół posiada jeszcze dla każdego wieku swą szczególną wymowę, własny swój wygląd dla każdego oka. Wiele mógł być on zbudować do pewnego czasu, lecz później nic już więcej. Dla młodzieży po konfirmacji stoi on wykończony, dorosły. Stoi z palcem na poły grożącym, na poły przywołującym — skierowanym ku młodzieńcowi, który wybrał już swoją drogę życia, stoi silny, o szerokich barach wobec trosk mężczyzny, łagodny i gościnnie przywołujący wobec strudzonego starca. Chrzest niemowląt odbywa się podczas nabożeństwa — a wiadomo, że w czasie tej ceremonii następuje najsilniejsze skupienie w modłach.

Torbjörn wyczekiwał swej pierwszej wyprawy do kościoła z wielką radością, ciekaw tego wszystkiego, co miał zobaczyć. Przed wejściem do świątyni rozkoszował się bajeczną kolorowością tłumu, a znalazłszy się w kościele, odczuł poważne skupienie, w którym cała gmina czekała na rozpoczęcie nabożeństwa. Zapomniał wprawdzie, że przy odczytywaniu modlitwy wstępnej należy pochylić głowę, lecz na widok setek pochylonych postaci i jego dusza ukorzyła się przed bożym majestatem. Zabrzmiała pieśń, wszyscy wokół niego śpiewali psalm. Przejęło to chłopca niemal lekkim drżeniem. Siedział w głębokiej zadumie — drgnął nagle, jakby zbudzony ze snu, gdy ktoś, wchodząc do ich ławki, cicho otworzył drzwiczki. Śpiew zamilkł, a ojciec, podając przybyszowi rękę na powitanie, zapytał szeptem:

— W Solbakken wszystko w porządku?

Torbjörn otworzył szeroko oczy. Ale chociaż długo przyglądał się przybyłemu, nie mógł w żaden sposób dopatrzeć się w nim niczego, co by miało coś wspólnego z czarami. Był to mężczyzna dobroduszny, uśmiechnięty, jasnowłosy, o dużych niebieskich oczach i wysokim czole. Gdy doń mówiono, uśmiechał się i na wszystko, co mówił Sämund, odpowiadał: „tak... tak... tak”. Był widocznie małowówny z natury.

— Popatrz — rzekł ojciec — tam siedzi Synnöwe!

Pochylił się, posadził go sobie na kolanach i wskazał na przeciwległą ławkę przeznaczoną dla kobiet.

Kłęcząca tam na siedzeniu mała dziewczynka i oparta o pulpit rozglądała się po kościele. Miała włosy bardzo jasne, konopiaste, dużo jaśniejsze niż ów jegomość siedzący obok ojca. Z małego czepeczka powiewały czerwone wstążki. Śmiała się doń wesoło, tak że przez dobrą chwilę nie mógł odwrócić uwagi od jej drobnych, białych ząbków. W jednej ręce trzymała pięknie w skórę oprawny śpiewnik, w drugiej złożoną jasnoczerwoną jedwabną chusteczkę. Bawiła się, uderzając nią po książce.

Im dłużej patrzył, tym więcej się uśmiechała. Po chwili ukląkł na ławce tak jak ona. Wówczas kiwnęła mu głową. Przez moment patrzył na nią z powagą, potem skinął również głową. Roześmiała się i odpowiedziała nowym ukłonem. I tak kiwali głowami. Po chwili Synnöwe zaprzestała tej zabawy, a dopiero potem, gdy i on przestał kiwać głową, rozpoczęła ją na nowo.

— Teraz ja chcę zobaczyć!

Torbjörn posłyszał jakiś głos za sobą i uczył, że go ktoś ściąga za nogi. Omalże nie zleciał z ławki. Sprawcą był niewielki, silny wyrostek, który teraz mężnie wdrapywał się na jego miejsce. Miał również jasne, zmierzwione włosy i krótki, perkaty nos.

Aslak nauczył Torbjörna, jak należy traktować złych malców zarówno w szkole, jak i w kościele, gdy przyjdzie do konfliktu. Przeto Torbjörn uszczypnął dotkliwie intruza w pośladek. Ten omal nie wrzasnął, ale przewyciężył ból, pośpiesznie zlął z ławki i chwycił Torbjörna za uszy. Torbjörn wbił obie ręce w jego włosy i cisnął go o ziemię. Malec nie krzyknął, tylko milczkiem ugryzł go w łydkę. Torbjörn cofnął nogę i z całej

siły przydusił twarz przeciwnika do podłogi. W tej chwili jednak poczuł, że go ojciec chwyta za kołnierz i podnosi w górę niby worek z owsem. Po chwili siedział znów na jego kolanach.

— Gdyby nie to, że jesteśmy w kościele — powiedział doń — dostałbyś lanie!

Jednocześnie ścisnął mu rękę, że Torbjörn omal nie krzyknął z bólu.

Przypomniawszy sobie o Synnöwe i spojrzawszy w jej stronę. Klęczała jeszcze, ale była przerażona i zmieszana. Wywnioskował z tego, że musiał uczynić coś bardzo brzydkiego. Gdy zauważyła, że na nią patrzy, zeszła z ławki i nie pokazała się wcale.

Wtem zjawili się zakrystian i pastor.

Torbjörn przypatrywał im się uważnie. I znowu przyszedł zakrystian a za nim pastor... On siedział na kolanach ojca i myślał:

„Czy ona się jeszcze pokaże?”

Małec, który go ściągnął z ławki, siedział na małym stołeczku na drugim końcu stali i ile razy chciał wstać, dostawał w plecy kulakiem od starego jegomościa, który drzemał smacznie, ale budził się zawsze w porę, by zatrzymać malca na miejscu.

„Czy ona się wnet pokaże?” — dumał Torbjörn.

Każda czerwona wstążka, jaką ujrzał w pobliżu, przywodziła mu na myśl tę, którą ona była przybrana, każdy pięknie malowany obraz wydał mu się podobny do Synnöwe, tylko postacie były nieco mniejsze od niej.

„Ach! — zauważył z radością. — Oto wychyla główkę!” Ale zaledwie go spostrzegła, przybrała surową minę i schowała się.

Znowu ukazali się zakrystian i pastor, dzwony zaczęły dzwonić, a wierni powstali z miejsc.

Ojciec powiedział coś z cicha do jegomościa o jasnych włosach i obaj odeszli do ławki przeciwległej, w której kobiety również powstały.

Pierwsza wyszła jasnowłosa kobieta. Uśmiechała się podobnie jak ów jegomość, tylko mniej wesoło. Była mała, blada. Prowadziła za rękę Synnöwe. Torbjörn zbliżył się zaraz do niej, ale ona odsunęła się szybko i skryła główkę w fałdach matczynej spódnicy.

— Idź sobie! — powiedziała.

— Ten chłopczyzna — ozwała się kobieta — nie był dotąd jeszcze w kościele?

Położyła mu dłoń na głowie.

— Jest dziś po raz pierwszy — odparł Sämund — i dlatego rozpoczął bójkę.

Torbjörn spojrzawszy zawstydzony na ową kobietę, a potem na Synnöwe, która wydała mu się teraz jeszcze poważniejsza.

Wyszli razem. Rodzice zatopili się w rozmowie, a Torbjörn szedł zaraz za Synnöwe, która za każdym zbliżeniem czepiała się trwożnie sukni matki. Tamtego chłopca stracił zupełnie z oczu. Przed kościołem starsi rozgadali się na dobre. Torbjörn usłyszał parę razy imię Asłaka, a bojąc się, by przy tej sposobności nie wspomniano także o nim, odsunął się na bok.

— To nie dla ciebie! — powiedziała matka do Synnöwe.

— Odejdź trochę od nas, moje dziecko... mówię ci, oddał się...

Synnöwe odeszła z wahaniem kilka kroków.

Torbjörn zbliżył się teraz do niej. Stali przez chwilę naprzeciw siebie i oglądali się wzajemnie. Na koniec powiedziała Synnöwe:

— Pfe!

— Czemuż mówisz pfe? — zdziwił się.

— Pfe! — powtórzyła z uporem. — Pfe! Wstydz się!

— Cóż takiego zrobiłem? — zapytał.

— Biłeś się w kościele i to podczas modlitwy... pfe!

— Tak... ale to już bardzo dawno!

To ją przekonało i spytała po chwili.

— Czy ty nazywasz się Torbjörn Granlien?

— Tak! A ty Synnöwe Solbakken?

— Tak. Słyszałam zawsze, że jesteś taki grzeczny!

— Nie! To nieprawda! — odparł. — Jestem najgorszy ze wszystkich w całym domu!

— Ach! Któż tak mówi! Tego jeszcze nie słyszałam! — zawołała Synnöwe, uderzając w zdumieniu chustką w książkę... — Mamo! Mamo... on powiada...

— Dajże mi spokój i odejdz... — odrzekła matka. Zatrzymała się, a potem wróciła do Torbjörna, nie spuszczając z matki wielkich, niebieskich oczu.

— Słyszałem — ozwał się Torbjörn — że ty jesteś zawsze grzeczna.

— Tak... czasem... Tak mówią, gdy się pilnie uczę! — odparła.

— Czy to prawda, że u was pełno krasnoludków, czarownic i innych złych duchów? — zapytał, biorąc się pod boki. Wyszła jedną nogę i przybrał minę wyzywającą, zupełnie jak Aslak.

— Mamo... mamo! Wiesz, co on mówi! On powiada...

— Daj mi spokój... rozumiesz? I nie zbliżaj się, aż cię nie zawołam.

Musiła znowu cofnąć się. Szła z wolna wstecz, gryząc chusteczkę i szarpiąc ją w zębach.

— Czy to prawda, że u was w krzakach nad stawem co noc słyhać muzykę? — pytał Torbjörn.

— Nieprawda!

— Czyś nigdy nie widziała krasnoludka?

— Nie!

— Ależ na miłość boską!...

— Pfe! Nie mów tak!

— O... cóż to szkodzi! — zawołał i splunął silnie przez zęby, chcąc jej pokazać, jak daleko pluć potrafi.

— Tak... tak... strzeż się! — zauważyła. — Inaczej pójdziesz prosto do piekła.

— Tak myślisz? — spytał pokorniejszym głosem. Zawsze sądził, że co najwyżej może za to dostać bicie, a w tej chwili ojciec stał dosyć daleko.

— Kto jest u was w domu najsilniejszy? — spytał i nasunął czapkę na jedno ucho.

— Nie wiem... — odrzekła Synnöwe z zakłopotaniem.

— U nas najmocniejszy jest ojciec. Jest tak silny, że sprzął nawet Aslaka, a Aslak jest silny... zaręczam ci!

— Tak?

— Oo, naturalnie! Pewnego razu podniósł w jednej ręce konia!

— Tak... to prawda! Sam to mówił.

Oczywiście i ona uwierzyła natychmiast.

— Któż to jest Aslak? — spytała.

— To zły chłopak! Powiadam ci, ojciec tak go sprzął, jak dotąd nie zbito jeszcze nikogo na całym świecie!

— Więc wy się ciągle bijecie?

— Czasem... A wy nie bijecie się nigdy w Solbakken?

— Nie, nigdy!

— A cóż robicie w takim razie? — spytał zdziwiony.

— Matka gotuje, robi pończochy i szyje. To samo czyni Karin, ale nie tak dobrze jak mama, bo jest leniwa. Randi zajmuje się kuchnią, ojciec i parobcy pracują w polu albo także w domu.

Torbjörn był zupełnie zadowolony z tego, co usłyszał.

— A wieczorami — mówiła dalej — czytamy i śpiewamy. To samo robimy każdej niedzieli.

— Wszyscy razem?

— Tak!

— To musi być bardzo nudne!... — zauważył.

— Nudne?... Mamo... on powiada...

Ale przypomniała sobie, że nie wolno przeszkadzać matce.

— Mam bardzo dużo owiec! — powiedziała, zwracając się do niego.

— Bardzo dużo? — zdziwił się.

— Tak! A trzy z nich tej zimy są kotne. Jedna nawet, pewna jestem, będzie miała dwojaczki.

— Masz więc owce?

— Tak! I krowy, i prosięta! A ty nie masz?

— Nie!

— Przyjdź do mnie! Dam ci owieczkę. A z niej potem dochowasz się bardzo dużo owiec.

— To byłoby bardzo dobrze! — zauważył.

Milczeli przez chwilę. Potem on spytał:

— Czy Ingrid mogłaby także dostać owcę?

— Któż to jest Ingrid?

— Ingrid! Mała Ingrid.

Nie znała jej.

— Czy ona jest mniejsza od ciebie?

— Naturalnie! Jest taka jak ty!

— O, to przyprowadź ją ze sobą! Słyszysz?

Zapewnił, że to uczyni niewątpliwie.

— Dobrze! — powiedziała. Ty dostaniesz owcę, a ona prosię!

Uznał, że było to bardzo mądrze pomyślane. Potem zaczęli sobie opowiadać o znajomych, których zresztą mieli niewielu. Rodzice skończyli tymczasem rozmowę. Ruszono w drogę do domu.

Tej nocy Torbjörn śnił o Solbakken. Widział mnóstwo białych owiec, a pośród nich dziewczynkę z czerwonymi wstążkami na głowie. Wraz z Ingrid rozprawiali teraz po całych dniach o spodziewanych odwiedzinach i marzyli o owcach i prosiętach, których namnożyło się tyle, że nie wiedzieli, co z nimi począć. Dziwowali się bardzo, że nie pozwolono im ruszyć zaraz do Solbakken.

— Jak to? Macie iść dlatego, że ta mała was zaprosiła? Czy kto słyszał coś podobnego?

— Czekaj! Czekaj do niedzieli! — pocieszał Torbjörn siostrę. — Ja to już urządzę!

I nadeszła niedziela.

— Podobno straszny z ciebie pyszałek, kłamca i klniesz co drugie słowo! — powiedziała mu Synnöwe. — Nie będziesz mógł dostać pozwolenia na przyjście, zanim się od tego nie odzwyczaisz!

— Któż to powiedział? — spytał zdumiony.

— Mama!

Ingrid wyczekiwała jego powrotu z niecierpliwością. Gdy jej oraz matce opowiedział co zaszło, matka rzekła:

— A widzisz!

Ingrid nie ozwała się słowem, ale od tej chwili pilnowały go obie wraz z matką, by się nie przechwalał i nie kłął. Pewnego dnia doszło między nim a siostrą do starcia z powodu kwestii czy wyrażenie „psiakość!” jest kłętwą, czy nie! Ingrid dostała w skórę, a on przez cały dzień powtarzał:

— Psiakość... psiakość...

Usłyszał to wieczorem ojciec.

— Masz psiakość! — krzyknął i uderzył go tak, że padł na ziemię.

Torbjörn zawstydział się bardzo, gdyż stało się to w obecności siostry. Ale po chwili Ingrid zbliżyła się i pogłaskała go po twarzy.

Dopiero po kilku miesiącach udali się oboje do Solbakken. Potem przysła do nich Synnöwe, a oni oddali jej wizytę i tak odwiedzali się ciągle wzajemnie, aż wyrosli.

Torbjörn i Synnöwe rywalizowali ze sobą w nauce. Uczęszczali do tej samej szkoły, a Torbjörn czynił takie postępy, że zajął się nim sam pastor. Ingrid nie mogła nadążyć i brat wraz z Synnöwe musieli jej pomagać. Nie rozłączały się obie, tak że zwano je turkaweczkami, bo zawsze były razem i miały takie same jasne włosy.

Od czasu do czasu gniewała się Synnöwe na Torbjörna z powodu jego skłonności do bijatyki. Ale Ingrid obejmowała rolę pośredniczki i godziła ich, tak że na nowo stawali się dobrymi przyjaciółmi. Za to gdy matka Synnöwe dowiedziała się o takiej bójce, ostro zabraniała mu przybywać do Solbakken przez cały tydzień, a w następnym z wielkim jeno trudem mógł uzyskać przebaczenie.

Sämundowi nie wolno było nawet wspominać o przekroczeniu syna.

— Obchodzi się on z chłopcem zbyt surowo! — biadała i nakazywała wszystkim milczenie.

Wyrosli wszyscy troje i byli piękni i dorodni, każde w swoim rodzaju. Synnöwe była śmigła, wysoka i gibka. Zachowała swe jasne włosy, śliczną buzię i niebieskie oczy.

Uśmiechała się w rozmowie do każdego, a ludzie mówili, że uśmiech jej to prawdziwe błogosławieństwo boże. Ingrid była niższa i bardziej przysadzista, buzię miała miłą o miękkich rysach i jasne, faliste włosy. Torbjörn był średniego wzrostu, silny i piękny. Włosy miał ciemne i ciemnoszafirowe oczy, ostre rysy twarzy i silne członki. Ile razy wpadał w złość, twierdził, że umie tyle co nauczyciel i nie boi się żadnego człowieka w całej dolinie... z wyjątkiem ojca dodawał w myśli, ale nie mówił tego głośno.

Torbjörn chciał przystąpić wcześniej do pierwszej komunii, ale to spełzło na niczym.

— Dopóki jeszcze jesteś uczniakiem i smarkaczem — rzekł ojciec — prędzej sobie mogę z tobą dać radę!

Stało się tedy, że Torbjörn udał się do pastora razem z Synnöwe i Ingrid. Synnöwe także długo czekała na konfirmację, rozpoczęła bowiem szesnasty rok życia.

— Nigdy nie można być dość dobrze przygotowaną do należytego złożenia wyznania swej wiary! — powiedziała matka, a Guttorm Solbakken dał na to swe zatwierdzenie.

Toteż sprawa przeciągała się tak długo, aż zjawili się w Solbakken konkurenci. Jeden syn pewnego dostojnika, drugi — bogaty sąsiad.

— To za wcześnie! — twierdziła matka. — Wszakże nie jest jeszcze konfirmowana!

— No, to chodźmy do pastora! — oświadczył Guttorm.

Ale sama Synnöwe nie wiedziała nic o konkurach. Kobiety z plebanii bardzo ją lubiły i zapraszały często na pogadankę. Torbjörn i Ingrid nie byli tam dopuszczani i gdy pewnego razu któryś z wyrostków zauważył:

— Czemu się nie bierzesz do rzeczy! Inny ci ją porwie sprzed nosa! — niefortunny doradca miał za chwilę podbite oko. Weszło w zwyczaj, że prześladowano Torbjörna wzmiankami o Synnöwe, a to doprowadzało go zawsze do szalonej pasji.

Skutkiem tych przycinków doszło raz do wielkiej, z góry ułożonej bijatyki w lasku przylegającym do plebanii. Liczba tych, z którymi Torbjörn miał walczyć, wzrastała ciągle, tak że w końcu miał całą falangę przeciw sobie. Dziewczęta, które by mogły interweniować, wyruszyły do domu, dla Torbjörna sprawa przedstawiała się wcale niewesoło. Nie chciał się poddać, przeciwnicy nastawiali coraz to ostrzej, bronił się przeto i wówczas padł niejeden cios świadczący potem długo o tym co zaszło. Rozniosła się też wieść, co dało powód do utarczki, i w całej dolinie zawrzało.

Następnej niedzieli nie chciał iść Torbjörn do kościoła, a gdy miano znowu pójść do pastora, udał, że jest chory. Ingrid poszła sama. Gdy wróciła, spytał Torbjörn, co mówiła Synnöwe.

— Nic! — odrzekła Ingrid.

Gdy wreszcie poszedł z siostrą do pastora, wydawało mu się, że wszyscy nań patrzą, a konfirmanci śmieją się zeń po cichu. Synnöwe przybyła tego dnia później i długo przebywała na plebanii. Obawiał się wyrzutów ze strony pastora, zauważył jednak niebawem, że pastor i ojciec jego byli jedynymi w całej dolinie, którzy nic o bijatyce nie wiedzieli. Tedy sprawy stały dobrze, łamał sobie tylko nad tym głowę, jak zdoła porozumieć się z Synnöwe. Po raz pierwszy nie śmiał prosić Ingrid o pośrednictwo. Po skończeniu nauki udała się Synnöwe z powrotem na plebanię. Czekał, póki inni byli w podwórzu, ale wreszcie musiał pójść. Ingrid odeszła już dawno do domu.

Następnego dnia Synnöwe przysła pierwsza i przechadzała się z jedną z młodych panien z plebanii i jakimś pankiem po ogrodzie. Panna wykopała z ziemi kilka kwiatków i dała je Synnöwe, a młodzieniec pomagał. Torbjörn zaś stał pośród innych i nastuchiwał. Tłumaczono Synnöwe tak głośno, że słyszał każde słowo, jak należy zasadzić owe kwiaty, a Synnöwe obiecała, że uczyni to sama jak najdokładniej podług przepisu.

— Sama nie potrafisz! — zauważył młodzieniec, a Torbjörn zapamiętał to sobie.

Gdy Synnöwe znów połączyła się z resztą zebranych, okazywali jej jeszcze więcej względów niż zazwyczaj. Ale ona zbliżyła się do Ingrid, wzięła ją na bok, usiadły na ławce i zaczęły rozmawiać. Dawno już nie nagadały się ze sobą porządnie. Torbjörn stał z daleka i patrzył na piękne, zagraniczne kwiaty Synnöwe.

Tego dnia Synnöwe wracała razem z innymi do domu.

— Czy mogę odnieść ci kwiatki? — spytał Torbjörn.

— Dobrze, proszę! — odparła przyjaźnie, nie patrząc nań jednak.

Chwyciła Ingrid pod rękę i poszły przodem. W pobliżu Solbakken przystanęła i pożegnała się z Ingrid.

— Ten mały kawałek, jaki mam do domu, zaniosę sobie kwiaty sama! — powiedziała, zabierając koszyk, który Torbjörn postawił na ziemi.

Przez całą drogę zamierzał prosić, by mu pozwoliła zasadzić kwiaty. Ale nie mógł zdobyć się na to, a tymczasem ona odwróciła się szybko i odeszła. Nie mógł teraz myśleć o niczym innym, jak tylko o owym sadzeniu kwiatów.

— O czym rozmawialiście? — spytał siostrę, gdy wrócili do domu.

— O niczym ważnym! — odparła.

Gdy już wszyscy spali, Torbjörn ubrał się i wysliznął po cichu z domu. Była piękna, spokojna, ciepła noc. Chmury na niebie spiętrzały się fantastycznie, a w przerwach między nimi widniał ciemny granat usiany gwiazdami. Wydawało się, że przez owe przerwy spogląda ktoś na ziemię jakby przez okna.

Wokoło było pusto, nie spotkał żywej duszy. Tylko koniki polne ćwierkały. Odezwała się czasem z prawej strony drogi przepiórka, odpowiedziała jej druga z lewej i znowu ćwierkały koniki. Torbjörnowi wydawało się, że kroczy za nim jakaś świta śpiewaków, chociaż nie było nikogo. Las rysował się siną linią, ciemniejszą im bardziej w górę się wspinał, a wierzchołki drzew tonęły w białej mgłę. Z głębi lasu dochodził bulgot zapamiętałego cietrzewia klócającego się ze sobą samym i przeraźliwy powrzask sowy. Szumiał też gdzieś w dali wodospad, który dzisiaj właśnie rozteętnił się głośniejszy niż zawsze. Zdawało się, że zbudził się, by podpatrywać, co Torbjörn robi tutaj po nocy. Chłopak zboczył ze zwykłej drogi, ruszył na przełaj przez pola i znalazł się niebawem w małym ogródku Synnöwe, tuż przy oknie piwnicznym. Nad nim znajdowało się okno sypialni Synnöwe. Stał, rozejrzał się wokoło i zaczął nasłuchiwać. Ale wokół było pusto i cicho. Potem wyszukał narzędzia ogrodnicze, rydel i grabie. Jedna grządka była przekopana, ale ukończono ledwo mały kawałek. Tkwiły w tym kawałku dwa kwiatki. Widocznie Synnöwe spróbowała, jak będą wyglądały.

„Biedactwo, zmęczyło się — pomyślał — i zaprzestało roboty. To praca dla mężczyzny!”

Wziął się energicznie do dzieła. Nie czuł najmniejszej chęci do snu i nigdy żadna praca nie wydała mu się tak łatwa. Przypomniał sobie najdokładniej przepis, jak kwiatki mają być sadzone, przed oczyma stanął mu ogród plebana i wszystko zrobił, jak tam było.

Noc mijała szybko, ale nie spostrzegł tego wcale. Nie odpoczywając niemal, przekopał całą grządkę, zasadził kwiatki jeden po drugim, zmieniając ich rozmieszczenie, jeśli mu się wydawało, że tak będzie piękniej. Od czasu do czasu rzucał spojrzenie w okna, chcąc się przekonać, czy ktoś nań nie patrzy. Ale nigdzie nikogo nie spostrzegł, nie zaszczekał nawet pies. Cisza panowała zupełna aż do chwili, kiedy zaczęły pisać koguty i ptaki zerwały się w lesie, pozdrawiając go wesoło.

Stał, poprawiając jeszcze i przyklepując ziemię i w tej chwili przyszyły mu na myśl bajki Aslaka, że w Solbakken żyją krasnoludki i czarownice.

Spojrzał w okno Synnöwe i uśmiechnął się. Co też ona powie, gdy wstanie i spojrzy na owe kwiatki? Zrobiło się już całkiem jasno, ptaki darły się wniebogłose, przesadził tedy plot i pośpieszył do domu. Nikt nie będzie wiedział, że był w Solbakken i pracował przez całą noc. Ta tajemnica sprawiała mu niewymowną radość.

III

Niebawem rozniosły się po całej dolinie głuche wieści, ale nikt nie wiedział, jak jest w istocie. Od czasu konfirmacji Synnöwe nie widziano Torbjörna nigdy w Solbakken. Tylko Ingrid przychodziła tam często i razem z Synnöwe odbywały dalekie spacerunki po lesie.

— Nie bądź długo na przechadzce! — upominała Synnöwe matka.

— Dobrze! — odpowiadała córka i wracała dopiero późnym wieczorem.

Dwaj konkurenci zgłosili się ponownie.

— Ona musi sama rozstrzygnąć! — mówiła matka, a ojciec był tego samego zdania. Ale gdy wzięto Synnöwe na spytki, dała obu kosza.

— Zjawili się inni, ale nie słyszano, by któryś wrócił z Solbakken z dobrą wieścią.

Pewnego dnia, gdy obie myły kadzie na mleko, spytała matka, czy ma już kogoś upatrzonego.

Synnöwe, zaskoczona tym pytaniem, zaczerwieniła się jak wiśnia.

— Czy przyrzekłaś komu swą rękę? — badała matka, wpatrując się bystro w córkę.

— Nie! — odrzuciła Synnöwe szybko.

Kwestii tej nie poruszano od tej pory.

Była najlepszą partią w całej okolicy, toteż śledzono ją spojrzzeniami, gdy szła na nabożeństwo lub wracała z kościoła. Bywała tylko tam. Rodzice jej należeli do sekty Haugego, przeto córka nie uczęszczała na zabawy, tańce i nie brała udziału w innych rozrywkach.

Torbjörn siadywał w kościele w ławce naprzeciwko ławki Synnöwe, ale o ile wiedzano, nie rozmawiali ze sobą nigdy. Wszyscy jednak domyślali się, że istnieje pomiędzy nimi jakiś stosunek sercowy, ponieważ zaś nie obcowali ze sobą tak jak inni zakochani, przeto rozprowadano sobie różności. Torbjörna nie lubiano ogólnie. Wiedział o tym i ta świadomość czyniła go jeszcze opryskliwszym, ile razy spotykał się z innymi młodymi parobczakami na weselach lub przy tańcu. Zdarzały się wtedy często bijatyki. Ale był mocny, toteż powoli zmniejszała się liczba przeciwników i nikt nie miał ochoty poznać jego pięści. Torbjörn nie ścierpiałby żadnej przeszkody na swej drodze.

— Jesteś teraz dorosły! — powiedział mu raz ojciec. — Żyj na swoją rękę, pamiętaj tylko, że moja pięść silniejsza może od twojej.

Minęły jesień i zima, zbliżała się wiosna, a dotąd ludzie nie wiedzieli nic pewnego. Szeroką falą rozeszły się wieści o niezliczonych kosztach danych przez Synnöwe, toteż zostawiono ją w spokoju i konkurenci przestali napływać. Ingrid nie rozłączała się z nią. Obie miały udać się tego roku na hale, bo Guttorm Solbakken zakupił część hal granlieńskich. Miano niebawem wyganiać bydło, a tymczasem Torbjörn pracował w górach, przysposabiając koliby³ lub naprawiając zagrody.

Pewnego pogodnego wieczora, skończywszy robotę, usiadł pod drzewem i puścił wodze myślom. Dumał o tym i owym, a zwłaszcza co ludzie gadali w dolinie. Poczul znużenie, położył się tedy we wrzosy, założywszy ręce pod głowę i patrzył w szafirową kopułę nieba sklepioną nad drzewami. Konary liściastych drzew chwiały się falistym ruchem, a sosny, świerki i modrzewie rysowały się na tle nieba w fantastycznych kształtach. Odślaniało się ono, gdy wiatr rozchyłał gałęzie. Wszystko było w ruchu i to nadało myślom Torbjörna swoisty ton.

Biała brzoza uśmiechała się do jodły, a sosna patrzyła z przekorą i kłuła ostrymi szpilkami na wszystkie strony. Była zła, bo w łagodnym klimacie tych okolic coraz to więcej rozwijało się dolinowych niedołęgów, które wznosiły swe bujne korony pod sam nos władczyni gór.

— Coście robiły w ziemie, pytam... — burczała i chwiała czarnymi gałęźmi. Od kilku tygodni panował ogromny upał i wielkie krople żywicy jak pot ściekały z jej pnia.

— To coś okropnego! — mruzczała. — Tak wysoko na północy jeszcze musi zawadzać to tałatajstwo!

Opodal stała potężna sosna oszroniała od starości i spoglądała na cały las z góry. Długimi, opuszczonymi gałęźmi mogła wygodnie chwycić za czub swawolny klon, który drżał na samą tę myśl. Ludzie obcinali tej sośnie gałęzie coraz to wyżej, więc mając tego dość, wystrzeliła w górę tak, że jodły przeraziły się i jedna z nich spytała, czy pamięta o burzach zimowych.

— Czy pamiętam o burzach? — wrzasnęła i za pomocą wiatru dała takiego klapsa biednej jodle, że ta straciła zupełnie równowagę. A sosna była potężna, wparła w ziemię tak ogromne stopy, że w odległości sześciu łokci od pnia sterczały z gruntu i były jeszcze grubsze od najgrubszego miejsca w pniu wierzby, która opowiadała o tym pewnego wieczora chmielowi, obejmującemu ją miłośnie ramionami. Brodata olbrzymka wiedziała o swej mocy i wysyłając w powietrze jeden konar po drugim, szydyczko mówiła do ludzi:

— Teraz mnie obcinajcie, jeśli chcecie!

— Nie! Tobie już nic nie zrobią! — powiedział orzeł, zniżył łaskawie swój lot, zwinął skrzydła i zaczął czyścić szpony z nikiem krwi jagnięcej. — Trzeba będzie powiedzieć mej żonie królowej, by się tu osiedliła! Ma ona właśnie znieść kilka jaj!... — dodał jakby zawstydzony i spojrzął na swe nagie nogi. Nasunęło mu się widać wspomnienie owych pierwszych dni wiosny, kiedy wszystko co żyje traci rozum pod wpływem promieni słońca. Po chwili jednak podniósł głowę i spojrzął spod nastroszonych piórami brwi ku czarnym

³koliba — szałas pasterski w górach. [przypis edytorski]

skalnym iglicom, gdzie może krąży znudzona, osłabła i chora z powodu owych jaj królowa żona. Wzbil się w powietrze i za chwilę ujrzała sosna parę królewską zawieszoną wysoko w błękitie ponad skałami. Rozmawiali zapewne o swych sprawach domowych. Uczuła mimo wszystko pewien niepokój. Była dumna, a nic by tak nie schlebialo jej dumie jak to, by mogła kołysać w swej koronie królewską parę. Orły zwróciły lot w jej stronę i szybowaly prosto ku niej. Widocznie sprawa została rozstrzygnięta, gdyż nie mówiąc ni słowa oboje zaczęły znosić gałęzie. Sosna napuszyła się jeszcze bardziej i w samej rzeczy nikt jej w tym nie mógł przeszkadzać!

W całym lesie powstał szum. Poleciały wieści o wysokim honorze, jaki spotkał sosnę mocarzę.

Opodal stała mała, powabna brzoza i przeglądała się w gładkiej tafli jeziora, oddana marzeniom o miłości maleńkiego srebrnoszarego dzwońca, który w południe sypiał zazwyczaj w jej gałęziach. Otaczała go wonią swych pąków, zatrzymywała na lepkich listkach komary i różne małe owady, by je mógł wygodnie schwytać, co więcej, czując, że upał się wzmagą, zbudowała mu w swej koronie cienistą altankę. Dzwoniec, widząc tyle dowodów przywiązania, zdecydował się zamieszkać tu na całe lato. Naraz orzeł osiedlił się na sośnie i biedny dzwonec musiał uciekać. Cóż za strapienie! Dzwoniec wydzwonił jej cichutko pieśń pożegnania... Cichutko, by orzeł nie usłyszał, i odleciał.

Nie lepiej działo się kilku wrzaskliwym wróblom w krzaku dzikiego tureckiego bzu. Wiodły tam żywot tak grzeszny, że kos, mieszkający w pobliskiej osice, nie mogąc spać, wymyślał im od ostatnich. Poważny zaś kwiczoł zamieszkały w sąsiedztwie śmiał się z tej złości tak, że o mało nie spadł z gałęzi na ziemię. Wtem ptaki spostrzegły orła na sośnie! I wróble, i kos, i szpak, słowem wszystko, co mogło latać, uciekło co prędzej na łeb na szyję, i to cichaczem, pod gałęzmi drzew. Odlatujący kos przysięgł uroczyście, że póki życia nie osiedli się w sąsiedztwie wróblej hołoty.

Opustoszał więc las wokoło i zesmutniał, mimo że słońce świeciło tak pięknie. Tylko sosna radowała się, ale cóż to była za radość. Lękliwie uginały się przed jej gałęzmi wszystkie drzewa, ile razy zawiał wiatr z północy. Jej olbrzymie konary były w powietrze nie mogąc dosięgnąć nikogo, a orzeł krążył wokoło jej korony, skupiony, mądry, nie robiąc sobie nic z wichury, jakby to był jeno przyjemny powiew unoszący w górę aromat lasu. Cała rodzina sosen była teraz w najlepszym humorze. Żadna sosna nie pomyślała, że tego roku ani jeden ptaszek nie uwije na niej swego gniazda.

— Z drogi, hołoto! — wołały. — My jesteśmy członkami rodziny odznaczonej przez króla.

— O czym dumasz? — spytała nagle Ingrid, ukazując się wśród gęstwy. Stała, trzymając rozchylone gałęzie. Torbjörn podniósł się z ziemi.

— Tyle rzeczy chodzi człowiekowi po głowie! — odparł i spojrzał wyzywająco ku szczytom drzew. — Ludzie coś za dużo o mnie plotkują! — dodał, otrzepując swoją kurtkę z igliwia.

— Cóż cię obchodzi ludzkie gadanie?

— No, sam nie wiem. Zresztą nigdy dotąd nie gadali nic poza tym, co sam już przedtem postanowiłem... choćby nie przyszło nawet do wykonania.

— Źle mówisz!

— Może źle, ale to prawda.

Usiadła w trawie, on stanął przy niej i zapatrzył się w dal.

— Mogę łatwo stać się takim, jak chcą ludzie, niech mi przeto dadzą spokój!

— Byłaby to jednak twoja własna wina!

— Możliwe! Ale ludzie też są winni, jeśli człowiek staje się zły! Powiadam: chcę mieć raz święty spokój! — wrzasnął i spojrzał ku orlemu gniazdu.

— Co ci się stało, Torbjörnie? — spytała.

Obrócił się ku niej i roześmiał się.

— Uspokój się! — powiedział. — Tyle rzeczy przychodzi człowiekowi do głowy! Czy widziałaś się dziś z Synnöwe?

— Tak, już przybyła na hale.

— Dzisiaj?

— Tak.

— Z bydłem z Solbakken?
 — Tak!
 — Tra la la!
 — Jutro my wypędzamy bydło! — powiedziała, chcąc zwrócić uwagę brata w inną stronę.
 — Pomogę wypędzać! — rzekł Torbjörn.
 — Ojciec pomoże, chce iść na hale.
 — Tak? — powiedział i zamilkł.
 — Pytał dzisiaj o ciebie! — ozwała się Ingrid.
 — Doprawdy? — rzekł. Wziął gałąź i zaczął ją skrobać nożykiem.
 — Powinien byś więcej rozmawiać z ojcem! — ozwała się znowu. — Ojcu przykro, żeś taki małowówny!
 — Możliwe! — zauważył.
 — Często o tobie mówi, gdy cię nie ma.
 — Ale nie odzywa się do mnie, gdy jestem.
 — To twoja wina.
 — Może być...
 — Nie mów tak. Sam dobrze wiesz, co ci zarzuca.
 — Cóż takiego?
 — Wszystko jedno. Ty wiesz i ja wiem... Otóż zarzuca ci, że gospodarujesz za dużo na własną rękę, a tego on nie może ścierpieć.
 — Chciałby mi związać ręce?
 — Zwłaszcza wówczas, kiedy bijesz!
 — Czy mam pozwolić ludziom, by gadali, co chcą?
 — To nie! Ale mógłbyś im trochę zejść z drogi. Ojciec czynił to zawsze i widzisz, jak go wszyscy szanują.
 — Może nie dręczyli go tak jak mnie?
 Ingrid milczała przez chwilę, potem obejrzała się i rzekła:
 — Nie zda się na nic mówić o tym! Ale jeśli wiesz, że spotkasz wrogów, to lepiej nie idź tam, gdzie są.
 — Nie! Właśnie tam być muszę! Nie darmo jestem Torbjörn Granlien.
 Oskrobał całą gałąź z kory, teraz przeciął ją na dwoje. Ingrid spojrzała nań, a potem rzekła z wahaniem:
 — Czy pójdziesz w niedzielę do Nordhaugów?
 — Pójdę.
 Zaległo milczenie. Potem Ingrid, nie patrząc nań, powiedziała:
 — Czy wiesz, że Knut Nordhaug przyjechał na wesele siostry?
 — Wiem.
 Teraz spojrzała nań surowo.
 — Torbjörn, Torbjörn! — zawołała z wyrzutem.
 — Czy wolno mu teraz bardziej niż przedtem stawać między mną a... innymi?
 — On nie staje... przynajmniej nie więcej niż ci... inni chcą tego!
 — Nikt nie może wiedzieć, czego chcą inni!
 — Ty to wiesz dobrze!
 — Ona sama przynajmniej nie powiedziała!
 — O, jakże możesz tak mówić? — zawołała Ingrid, popatrzyła nań z niechęcią, wstała i obejrzała się wokoło.
 On rzucił kawałki gałęzi, zatknął nożyk za pas i zwrócił się ku niej.
 — Słuchaj! Czasem czuję zniechęcenie do tego wszystkiego! Ludzie obmawiają i ją, i może dlatego, że nic nie dzieje się jawnie. A z drugiej strony, ja nie bywam nawet w Solbakken, bo ona mówi, że rodzice nie mogą na mnie patrzeć. Nie mogę do niej chodzić jak inni chłopcy do swoich dziewcząt... bo ona jest... święta! Tak się ma rzecz cała!
 — Torbjörn! — zawołała.
 Ale on ciągnął dalej:

— Ojciec nie chce wstawić się za mną ani jednym słowem. „Jeśli na nią zasłużysz, to będzie twoja”, powiada! Plotki, czyste plotki z jednej strony, a z drugiej za tę całą mękę nic... dosłownie... nic. Ja nie wiem nawet, czy ona...

Szybkim ruchem położyła Ingrid rękę na jego ustach i rozejrzała się niespokojnie wokoło. W tej chwili rozchyliły się gałęzie i ukazała się smukła postać. Była to Synnöwe.

— Dobry wieczór! — powiedziała.

Ingrid spojrzała na Torbjörna, jakby chciała powiedzieć: „A widzisz...”.

A on patrzył na nią, jakby jej wyrzucał: „Czemuś mi to zrobiła!”.

Żadne z nich nie zwróciło oczu na Synnöwe.

— Spocznię chwilę przy was! — powiedziała Synnöwe. — Tyle się dziś nabiegałam!

Usiadła. Torbjörn odwrócił głowę, jakby chciał zobaczyć czy tam, gdzie siada, jest sucho i wygodnie. Ingrid spoglądała z góry ku Granlien i nagle wykrzyknęła:

— Jezus, Maria! Krasula zerwała się ze sznura i weszła prosto w koniczynę!... Ach, i druga też! To coś strasznego. Ostatni czas wypędzać bydło na hale.

I zbiegła ze wzgórze ku zagrodzie, nie żegnając się nawet. Synnöwe wstała niezwłocznie.

— Odchodzisz? — spytał Torbjörn.

— Tak! — rzekła i stanęła.

— Może zaczekasz chwilkę? — spytał, nie patrząc na nią.

— Kiedy indziej! — szepnęła.

— A kiedyż to nastąpi?

Spojrzała nań i on teraz patrzył na nią, ale długo trwało, zanim zaczęli mówić.

— Siądź sobie! — poprosił z zakłopotaniem.

— Nie mogę! — odrzekła.

Czuł, że wzbiera w nim ból, ale nagle ona uczyniła coś, czego się nie spodziewał.

Przystąpiła doń, spojrzała mu prosto w oczy i spytała:

— Czy się na mnie gniewasz?

Przypatrzył jej się uważnie i spostrzegł, że płakała.

— Nie! — odparł i wyciągnął dłoń.

Ale oczy jej napelniły się łzami, przeto nic nie widziała.

Po jakimś czasie cofnął rękę.

— Słyszałaś wszystko?

— Tak! — odparła i uśmiechnęła się, ale jej oczy były jeszcze bardziej napelnione łzami niż przedtem.

Nie wiedział, co mówić, przeto wyrwało mu się:

— Byłem może zbyt surowy!

Wyrzucił się bardzo oględnie. Spuściła oczy i obróciła się bokiem.

— Nie sądz o tym, czego nie znasz! — powiedziała łamiącym się głosem. Było mu nieswojo. Czuł się małym, strofowanym chłopcem, przeto, nie wiedząc, co wymyślić lepszego, rzekł:

— Przebacz mi!

W tej chwili wybuchła płaczem. Nie mógł znieść tego widoku, przystąpił więc blisko, objął ją ramieniem, pochylił się ku niej i spytał:

— Czy lubisz mnie trochę, Synnöwe?

— Tak! — szepnęła, szlochając.

— Ale to ci, widzę, sprawia przykrość!

Załkała jeszcze gwałtowniej i chciała się uwolnić z objęć.

— Synnöwe! — szeptał, przyciągając ją ku sobie. Położyła głowę na jego ramieniu i płakała rzewnie.

— Czekaj, pomówmy trochę! — powiedział, posadził ją na trawie i sam usiadł obok niej.

Otarła łzy i próbowała się uśmiechać, ale się jej nie udawało. Wziął ją za rękę i patrzył w oczy.

— Droga Synnöwe — pytał — powiedz, czemu nie mogę przychodzić do Solbakken?

Milczała.

— Czy nie prosiłaś rodziców?

Nie odzywała się.

— Czemuś tego nie uczyniła? — pytał, przyciągając ją do siebie.
 — Nie śmiałam... — powiedziała cicho.
 Zachmurzył się i oparł głowę na rękach.
 — W takim razie nigdy się chyba tam nie pokażę! — rzekł z goryczą.
 Miast odpowiedzi, zaczęła nerwowo wyrywać wrzosa.
 — To prawda... — zaczął — że dopuściłem się niejednego, co może nie wypada...
 Ale myślę, że winnaś sądzić mnie pobłażliwiej!... Nie jestem zły — tu zrobił przerwę —
 jestem przy tym młody... mam zaledwie dwadzieścia lat...
 Plątał się i nie mógł mówić dalej.
 Posłyszał jej przyciszony głos:
 — Nie mów tak. Nie wiesz, ile... nie chcę o tym nawet Ingrid wspominać...
 I znowu zaczęła gorzko płakać. Przytulił ją do siebie.
 — Pomów tylko z rodzicami! — rzekł. — Pomów, zobaczysz, wszystko będzie dobrze!
 — Wszystko zależy od ciebie! — powiedziała.
 — Ode mnie?
 Obróciła się ku niemu i zarzuciła mu ręce na szyję.
 — Gdybyś mnie kochał, jak ja ciebie... — powiedziała i spojrzała nań serdecznie,
 i uśmiechnęła się przez łzy.
 — Czy ja cię kocham? — szepnął gorąco.
 — O, nie chcesz mnie usłyszeć! Wiesz dobrze, co by nas połączyło, ale nie chcesz tego
 uczynić... Powiedz, dlaczego? — Zaczęła mówić żywo. — Boże drogi! Nie wiesz, jak cieszę
 się na ten dzień, kiedy cię ujrzę w Solbakken! Ale ciągle dowiaduję się o różnych takich
 rzeczach... o takich, które to czynią niepodobieństwem... I muszę się o tym dowiadywać
 od własnych rodziców!
 Nagle zrozumiał wszystko.
 Pojął teraz wyraźnie, że Synnöwe wyczekuje z upragnieniem tej chwili, w której by
 mogła pokazać się z nim razem, przed rodzicami... To on... on sam... pozbawiają tego!
 — Czemuż nie powiedziałaś mi tego nigdy otwarcie?
 — Jak to? Mówiłam tyle razy!
 — Nie rozumiałem... nie pojąłem tak jak dzisiaj.
 Zamyśliła się, a potem powiedziała, układając w drobne fałdy rożek fartuszka:
 — Może dlatego, że nie śmiałam...
 Na myśl, że może się go bać, uczuł rozrzewnienie i po raz pierwszy w życiu pocałował
 ją w usta.
 Zmieniła się nagle. Przestała płakać, spojrzenie jej stało się niepewne, chciała się
 uśmiechnąć, patrzyła to w dal przed siebie, to na niego, i milczała. On milczał także, ręce
 ich spotkały się same, ale nie złączyły się uściskiem. Oboje byli onieśmieleni. Cofnęła
 rękę, otarła łzy i poprawiła włosy nieco potargane, a on patrzył na nią i myślał sobie:
 „Jest bojaźliwsza od innych dziewcząt w całej dolinie i chce, by się z nią inaczej ob-
 chodzić! Niechże tak będzie!”
 Odprowadził ją aż do samej koliby na hali. Pragnął ją raz jeszcze przytulić do piersi,
 lecz — o dziwo! — nie śmiał jej dotknąć i wydawało mu się istnym cudem, że mu wolno
 kroczyć obok niej.
 Na pożegnanie powiedział:
 — Długo ludzie poczekają, nim będą mogli o mnie powiedzieć coś złego!

W domu zastał ojca noszącego worki zboża ze spichrza do młyna. Sąsiedzi zwozili swe
 zboże do Granlien i tam je mielono, choćby bowiem wyschły wszystkie potoki górskie,
 potok płynący przez jego grunta miał zawsze wody pod dostatkiem.

Dużo było tych worków. Niektóre miały średnie rozmiary, ale większość to prawdziwe
 olbrzymy. Kobiety stały obok nad strumieniem i wyżymały upraną bieliznę. Torbjörn
 zbliżył się do ojca i chwycił worek.

— Czy mam pomóc? — spytał.

— Dam sobie sam radę! — odrzekł Sämund, zarzucił zręcznie wór na plecy i poszedł
 rażno ku młynowi.

— Tak dużo tego! — zauważył Torbjörn, pochwycił od razu dwa wory, oparł się o nie plecami, sięgnął przez ramiona, wparł łokcie w boki i podniósł lekko ciężar. W pół drogi spotkał ojca wracającego po nowy wór. Stary rzucił okiem, na syna, ale nie rzekł nic. Gdy Torbjörn wracał ze spichlerza, spotkał ojca dźwigającego na plecach dwa ogromne wory, dużo większe od tych, które on niósł. Został więc pobity. Gdy zetknęli się przed spichrzem, rzekł Sämund:

— Był tu posłaniec z Nordhaug! — Zapraszają cię na wesele w niedzielę!

Ingrid podniosła oczy znad roboty i spojrzała na brata prosząco. To samo uczyniła matka.

— Hm... tak? — odrzekł Torbjörn sucho i pochwycił dwa największe z pozostałych worów.

— Czy pójdziesz? — spytał Sämund ponuro.

— Nie! — odrzucił Torbjörn.

IV

Hale granlieńskie leżały na rozległej wyżynie, z której roztaczał się piękny widok na całą okolicę. Na pierwszym planie widniało Solbakken w gąszczu wielobarwnych drzew. Dalej ukazywały się osiedla okolone pierścieniami lasów. Domy leżące w pośrodku tej zieleni zdawały się ustroniami szczęścia i spokoju, wydartymi przemocą dzikiej przyrody.

Wzrok ogarniał z hali czternaście takich gospodarstw. Ale z osiedla Granlien widoczne były jedynie dachy zabudowań i to tylko z samego brzegu hali.

Tam siadywały zazwyczaj dziewczęta i patrzyły na dymy wznoszące się z kominów.

— Matka gotuje obiad! — rzekła Ingrid. — Dziś będzie peklowina z grochem.

— Słyszysz — powiedziała Synnöwe — zwołują mężczyzn. Chciałabym wiedzieć, gdzie dzisiaj pracują.

Obie śledziły smugi dymu, zrazu żwawo i ochoczo wijące się w niebo, potem rozpełzające się w przejasnionym słońcem powietrzu i ginące w dali.

Myśli dziewcząt błąkały się również daleko po polach, górach i lasach.

Dziś myślały o osiedlu Nordhaugów. Ślub już się odbył, ale uroczystości weselne miały trwać cały tydzień, toteż od czasu do czasu dochodziły ich uszu strzały i głośnie pokrzykiwania.

— Weselą się! — powiedziała Ingrid.

— Nie mam im tego za złe! — odrzekła Synnöwe, zabierając się do swej ręcznej robótki.

— Chciałabym to zobaczyć! — mówiła Ingrid. Siedziała w trawie i spoglądała ku Nordhaug, gdzie ludzie ukazywali się pomiędzy budynkami i znikali znowu wśród drzew. Jedni krążyli około spichrza i stodoły, gdzie stały zapewne obficie zastawione stoły, inni szli parami rozmawiając ze sobą i oddalali się nieraz znacznie od osiedla.

— Nie rozumiem, co cię tam pociąga? — powiedziała Synnöwe.

— Ja sama dobrze nie wiem! — odrzekła Ingrid. — To zapewne taniec!

Synnöwe nic nie odrzekła.

— Czyś nigdy nie tańczyła? — spytała Ingrid.

— Nie!

— Myślisz, że to grzech?

— Nie wiem sama.

Ingrid porzuciła na razie ten temat, bo przypomniała sobie, że haugianie surowo zabraniali tańca, a nie chciała badać, jak dalece Synnöwe dzieli poglądy rodziców pod tym względem. Myśli jej krążyły jednak koło tego, bo po chwili powiedziała:

— Nie widziałam w życiu lepszego tancerza od Torbjörna.

Synnöwe zawahała się, a potem rzekła:

— Tak, słyszałam, że dobrze tańczy!

— Powinna byś go zobaczyć! — zawołała Ingrid i zwróciła się do niej.

— Nie, nie chcę! — zaprotestowała Synnöwe żywo.

Ingrid stropiła się, a Synnöwe pochyliła się nad swą szydełkową robótką i zaczęła liczyć oczka. Ale upuściła pracę na kolana i powiedziała z westchnieniem:

— Dawno nie byłam tak wewnętrznie uradowana jak dzisiaj.

— Czemuż to?
 — Bo dzisiaj on nie tańczy w Nordhaug!
 Ingrid zamyśliła się.
 — Tak! Podobno jest tam mnóstwo dziewcząt, które by chciały z nim tańczyć.
 Synnöwe otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale miast tego wzięła się do roboty.
 — I on by tam chciał pójść! — ciągnęła dalej Ingrid. — Wiem dobrze!
 Ale zaraz uświadomiła sobie, że palnęła głupstwo i spojrzała zawstydzona na zarumienioną, zajęętą robotą Synnöwe. Zamyśliła się nad całą rozmową, na klęczkach przysunęła się do przyjaciółki i spojrzała jej prosto w oczy. Klasnęła w dłonie, chcąc zwrócić jej uwagę, ale tamta nie podniosła wzroku. Wówczas Ingrid roześmiała się wesoło.
 — Założę się, że zataiłaś przede mną coś, co się w tych dniach stało.
 — Co powiadasz? — spytała Synnöwe niepewnym głosem.
 — Nie gniewasz się, że Torbjörn tańczy?
 Nie było odpowiedzi. Ingrid roześmiała się głośno, a potem objęła przyjaciółkę za szyję i szepnęła jej do ucha:
 — Jesteś zła, że on tańczy... z innymi, nie z tobą!
 — Co za głupstwa pleciesz, Ingrid! — powiedziała Synnöwe, odsunęła ją od siebie i wstała. Ingrid poszła za jej przykładem.
 — To prawdziwa szkoda, moja Synnöwe, że ty nie umiesz tańczyć! — zawołała wesoło.
 — Wielka szkoda! Czekaj, ja cię zaraz nauczę!
 Objęła Synnöwe w pól.
 — Czego ci się zachciewa? — broniła się tamta.
 — Nauczę cię tańczyć, byś się nie smuciła, gdy tańczy z innymi.
 Synnöwe musiała się roześmiać, chociaż uczyniła to z przymusem.
 — Ktoś może zobaczyć! — powiedziała.
 — Niech ci Bóg da zdrowie, chociaż mówisz głupstwa — odparła Ingrid, zaczęła nucić skoczną melodię i obracała w jej takt Synnöwe.
 — Nie... nie... nie umiem! — broniła się.
 — Głupstwo! Dopiero co mówiłaś, żeś dawno nie była tak uradowana... dalejże, raz... dwa... trzy...
 — Nie wiem, jak się to robi?
 — Spróbuj tylko, reszta przyjdzie sama!
 — Wariatka z ciebie, Ingrid.
 — Tak mówił kot do wróbla, który nie chciał czekać, aż znajdzie się w jego łapkach...
 No — zaczynamy!
 — Mam ochotę... ale...
 — Wyobraź sobie, że ja jestem Torbjörnem, a ty jego żoną, która nie może znieść, by tańczył z innymi.
 — Dajże spokój...
 Ingrid śpiewała.
 — Ależ... — powtarzała Synnöwe.
 Jednak nogi same poczęły skakać.
 Był to tak zwany skakany, taniec norweskich górali w takcie trzyćwierciowym.
 Ingrid sadziła wielkimi susami przodem, naśladowując krok tancerza, Synnöwe drobila w ślad za nią, z oczyma spuszczoneymi ku ziemi.
 Ingrid nuciła starą, wesołą, niemającą za grosz sensu przyspiewkę skakanego o lisie i zającach tańczących na pustkowiu porośłym wrzosami.
 — Co za uciecha! Prawda? — krzyknęła, stając zadyszana. Synnöwe śmiała się i oświadczyła, że miałyby większą ochotę na walca.
 — Wybornie! — powiedziała Ingrid — nie ma żadnej przeszkody!
 Zaczęła jej pokazywać, jak trzeba stawiać kroki, bo walc, jak twierdziła, to taniec bardzo trudny.
 — O, uda się! — zaręczyła Synnöwe. — Byle nie zgubić taktu. — Ingrid zarządziła pierwszą próbę, a Synnöwe zaczęła też nucić z początku z cicha, a potem coraz to głośniej.
 Nagle Ingrid zatrzymała się, klasnęła w dłonie i krzyknęła zdziwiona:
 — Ależ ty tańczysz wyśmienicie!

— Cicho! Nie mów o tym nikomu! — zawołała Synnöwe, objęła Ingrid w pól i walcowała z nią dalej.

— Któż cię tego nauczył?

— Tra la la... tra la la... — nuciła Synnöwe, nie puszczać przyjaciółki. Ingrid wpadła w prawdziwy szal, wirowała, śpiewając.

— Cóż to za piosenka — zdziwiła się nagle Synnöwe i przestała tańczyć.

— Nie wiem, co śpiewam! — odparła Ingrid. — Słyszałam, jak śpiewał to Torbjörn!

— To słowa Benta kryminalisty! Ojciec mi mówił...

— To jego słowa? — zdziwiła się Ingrid i spuściła oczy.

Nagle spostrzegły obie na gościńcu człowieka idącego obok naładowanego wozu.

— Patrz, ktoś jedzie od strony Granlien! — zawołała Ingrid.

— Może to on! — powiedziała Synnöwe.

— Tak, to Torbjörn!

W istocie był to Torbjörn. Jechał z miasta. Droga była daleka, a wóz ciężko naładowany, przeto posuwał się z wolna po pokrytej kurzem drodze. Duży kawał gościńca można było objąć spojrzeniem z wysokości hali. Posłyszawszy z góry wołania, domyślił się zaraz, kto woła, stanął na wozie i pokrzykiwał, aż echo rozdzwoniło się po górach. Z hali odpowiedziały mu dźwięki drewnianego rogu juhasów. Słuchał, a gdy przebrzmiały, wołał znowu. Trwało to dobrą chwilę i Torbjörn rozradował się bardzo. Patrzył ku Solbakken i w pełni słońca wydawało mu się tak piękne jak nigdy dotąd.

Zadumał się tak, że przestał zwracać uwagę na konia, który kroczył wedle własnego upodobania. Nagle zerwał się. Koń dał susa w bok, a ruch ten był tak niespodziany i gwałtowny, że pękł na dwoje jeden z dyszli zaprzęgu. Koń rzucił się galopem i pędził po polach Nordhaugów, przez które wiódł goścień. Torbjörn ściągnął lejce i zaczęła się teraz walka pomiędzy nim a koniem. Koń chciał rzucić się w galopie ze stromego zbocza, Torbjörn usiłował go zatrzymać. Ściągnął lejce tak silnie, że koń stanął dęba. Torbjörn zeskoczył z wozu i zanim koń zdołał się ponownie rozpędzić, przywiązał lejce do drzewa.

W ten sposób sprawa została na razie zakończona. Ale ładunek wozu ucierpiał niemało, różne przedmioty pospadały, jeden dyszel był złamany, a koń drżał ze strachu. Torbjörn przystąpił doń, chwycił go przy pysku, przemawiał głosem łagodnym, następnie odwrócił go wstecz, tak by się zabezpieczyć od chętki galopowania stromym zboczem, gdyby mu znowu wpadło coś do głowy. Przerazone stworzenie nie mogło ustać w miejscu i Torbjörn musiał biec za koniem w podskokach, kierując go ku gościńcowi. Udało mu się to. Biegając mijał pogubione rzeczy. Kilka naczyń stukło się i ich zawartość przepadła. Do tej pory myślał Torbjörn jeno o niebezpieczeństwie, teraz spostrzegł szkodę i to go rozzłościło. Zrozumiał, że nic z całej jazdy do miasta i złość zaczęła w nim wzbierać. Gdy stanął na drodze, koń spłoszył się ponownie i chciał się uwolnić skokiem w bok. Wówczas gniew Torbjörna wybuchnął z całą siłą. Lewą ręką ścisnął wędzidło, a prawą zaczął zadawać ciosy ciężkim batem, aż koń spieniał się i zaczął go bić przednimi kopytami po piersiach. Ale Torbjörn był silny, trzymał konia w oddaleniu od siebie i bił coraz to okrutniej grubszym końcem bata.

Koń rżał i jęczał z bólu, a on bił.

— Nauczę ja cię brykać... kanalio! — wrzeszczał, a piana z pyska biednego konia spadała mu płatami na ręce.

— Popamiętasz to sobie! Nauczę ja cię posłuszeństwa! — wołał.

Obracali się obaj z koniem w kółko. Zwierzę już nie stawiało oporu, drżało jedno od każdego ciosu, uchylało głowę i jęczało na widok wzniesionego w górę bata.

Torbjörn uczył nagle wstyd i przestał bić.

W tejże chwili ujrzał siedzącego nad rowem człowieka. Wsparty na łokciach człowiek ów gapił się nań i chichotał z uciechy. Torbjörnowi jakaś czarna mgła zasłoniła oczy i trzymając jedną ręką konia, drugą wznosił bat i rzucił się na owego człowieka.

— Ja cię oduczę śmiechu... drabie! — wrzasnął.

Cios padł, ale nie był celny. Mimo to człowiek krzyknął i stoczył się w rów. Podniósł się na czworaki, obrócił ku Torbjörnowi i zrobił szyderczy grymas. Potem zaśmiał się szatańsko, bezgłośnie, samymi jeno mięśniami twarzy. Torbjörn drgnął, bo poznał tę twarz. Tak... to był Aslak...

Koń, Przemoc, Zwierzę,
Gniew, Własność

Nie wiedział dlaczego, ale poczuł zimny dreszcz na plecach.

— To tyś mi spłoszył konia? — spytał.

— Leżałem tutaj i spałem sobie! — rzekł Aslak, podnosząc się. — Zbudziłeś mnie wrzeszcząc i bijąc bez pamięci biedne zwierzę.

— Wszystkie zwierzęta boją się ciebie! — zawołał Torbjörn i zaczął głaskać konia, z którego ściekał obficie pot.

— Boi się ciebie bardziej niż mnie! — powiedział Aslak, podnosząc się na kolana. — Nigdy nie zmaltretowałem tak konia... nigdy w życiu!

— Nie gadaj tyle! — krzyknął nań Torbjörn, potrząsając batem.

Aslak wylazł z rowu.

— Jak to? Ja za dużo gadam?... Nie... A gdzie ci tak spieszo?... Ha?

Zbliżył się, zataczając mocno, bo był pijany.

— Dziś pewnie nie pojedę dalej! — powiedział Torbjörn wyprzęgając konia.

— A, to naprawdę smutna sprawa! — powiedział Aslak. Zbliżył się i zdjął kapelusz. — Aj u licha — zawołał. — Wyrosłeś, widzę, na pysznego parobka, od kiedyśmy się rozstali.

Włożył ręce w kieszenie i starał się stać prosto, chociaż nogi chwiały się pod nim. Patrzył na wóz i Torbjörna, który z mozołem rozplątywał powikłane sznury i rzemienie zaprzęgu. Torbjörn potrzebował koniecznie pomocy, ale nie mógł się zdecydować, by prosić o nią Aslaka.

Aslak wyglądał strasznie. Odzienie miał uwalane w szlamie rowu i kurzu gościńca, włosy posklejane sterczały spod starego, połamanego, dziurawego melonika. Twarz przypominająca dawniejsze rysy wykrzywiona była ustawicznym szyderczym grymasem, a z oczu pozostały jeno wąskie szparki, tak że patrząc na kogoś, przechylał głowę w tył i otwierał przy tym usta. Rysy twarzy zrobiły się nikłe, a członki sztywne, bo rozpił się na umór. Torbjörn spotykał go od czasu do czasu, ale Aslak udawał, że go nie widzi. W roli przepkupnia włóczył się po całej okolicy i zachodził wszędzie, gdzie odbywała się jakaś festa. Tam śpiewał piosenki i opowiadał anegdoty, co czynił zresztą z wielką umiejętnością, oraz pił wódkę, którą go obficie traktowano.

Przyszedł tedy także na wesele u Nordhaugów, ale umknął zeń cichaczem, bo — jak się potem Torbjörn dowiedział, zwyczajem swoim podjudził ludzi na siebie wzajem i zachodziła obawa, że burza spadnie na jego głowę.

— Przywiąż konia do drzewa lub do wozu! — poradził. — I tak sam nie dasz rady! Musisz udać się do Nordhaugów po pomoc.

Torbjörn miał tę samą myśl, ale ją odsuwał od siebie.

— Tam wielkie wesele! — powiedział.

— Dlatego właśnie znajdziesz wszelką pomoc! — przekonywał Aslak.

Torbjörn wahał się. Ale bez pomocy nie mógł ani jechać dalej, ani wracać, więc najlepszą rzeczą było podejść niewielki kawałek do Nordhaugów. Przywiązał tedy konia i ruszył przodem, oglądając się za Aslakiem, który chwiejnym krokiem włókł się za nim.

— Tam u diaska! — zawołał Aslak szyderczo. — W dobrym towarzystwie powracam na weselisko!

Torbjörn nie odpowiedział. Szedł szybko. Aslak zaczął śpiewać:

Dwa parobeczki swarne
Idą se na wesele!...

Była to znana, stara piosenka.

— Ale ci spieszo! — krzyczał za nim. — No... no... idź... idź!

Torbjörn nie odpowiadał wcale. Niedługo doszły go tony skocznej nuty, a w oknach wielkiego piętrowego budynku ukazały się twarze. W podwórzu ujrzał grupy żywo dyskutujących gości weselnych. Zapewne zastanawiali się, kto to może nadchodzić. Wkrótce zorientował się, że go poznano i że zauważono na polu jego konia, wóz i porozrzucane towary. Gromada wytoczyła się na podwórze, a muzyka ucichła w chwili, kiedy wkroczył w obejście.

— Oto mimowolni goście weselni! — zawołał Aslak, który krył się za Torbjörnem, nie ufając sobie.

Powitano Torbjörna życzliwie i wszyscy otoczyli go kołem.

— Niech Bóg błogosławi zabawie. Dobre piwo na stole, ładne dziewczęta na sali i wyśmienita muzyka! Wiwat!

Tak wykrzyknął Aslak i wmieszał się w tłum.

Jedni roześmiali się, inni nasrożyli, ktoś zauważył pogardliwie:

— Ta kanalia zawsze ma humor!

Torbjörn spotkał znajomych i opowiedział im swą przygodę. Nie pozwolono mu iść samemu i wysłano ludzi po konia, wóz i rzeczy. Pan młody, dawny kolega szkolny, zaprosił go na weselne piwo i weszli obaj do domu. Niektórzy — zwłaszcza dziewczęta — chcieli dalej tańczyć, inni proponowali przerwę dla popicia i namawiali Aslaka, by opowiedział jaką dykteryjkę.

— Tylko bądź ostrożniejszy w wyborze niż poprzednio! — dodał ktoś.

Wyjaśniono mu, że przed chwilą zaszły pewne nieporozumienia i niektórzy goście weselni udali się na spoczynek, inni znów grają w karty na klepisku, a jeszcze inni zabawiają Knuta Nordhauga.

Spytał, gdzie jest Knut.

Ojciec pana młodego, stary człowiek z fajką w zębach siedzący na ławce i popijający piwo, ozwał się:

— No, Aslaku! Powiedz co wesołego, ale nie obraź znów kogo!

— Czy inni także proszą? — spytał Aslak, siadając na małym stołeczku w pewnym oddaleniu od stołu głównego, gdzie siedziała starszysna.

— Tak jest! — powiedział pan młody. — Ja cię także proszę!

— Czy są może jeszcze inne osoby, które mnie w ten sposób proszą? — spytał.

— Są! — odezwała się panna młoda siedząca na bocznej ławie, przystąpiła doń i podała mu kubek wina.

Była młoda, miała może dwadzieścia lat, chuda, z dużymi oczami oraz poważnym, surowym niemal wyrazem twarzy.

— Mnie — dodała z przyciskiem — podobają się twoje historie, Aslaku.

Pan młody spojrział na nią ostro, a ojciec popatrzył znów na niego.

— Tak... tak... — przyświadczył Aslak. — Ludzie z Nordhaug zawsze gustowali w moich historyjkach. Za ich zdrowie! — krzyknął i wypił kieliszek wódki, który mu podał jeden z drużbów.

— A teraz opowiadaj! — domagały się liczne głosy.

— Opowiedz o Cygance Sygrydzie! — zaproponował jeden.

— Nie! — oponował drugi. — To do niczego!

— Więc opowiedz o bitwie pod Lier! — powiedział ekstambur Swend.

— Nie... nie! Coś wesołego! — zawołał oparty o ścianę, wysoki, szczupły młodzieniec bez kaftana. Jego prawa ręka bez ceremonii bawiła się włosami dwóch dziewcząt siedzących na ławie. Wymyślały mu, ale żadna nie ruszyła się z miejsca.

— Opowiem, co mi się spodoba! — oświadczył dumnie Aslak.

— Niech cię diabli wezmą! — zamruczał stary mężczyzna, który palił fajkę, leżąc na łożku. Jedna jego noga zwisała bezwładnie, a drugą kopał zawzięcie przewieszony przez poręcz łożka kaftan owego młodzieńca stojącego pod ścianą.

— Daj spokój memu kaftanowi! — warknął ów młodzieniec.

— A ty daj spokój moim córkom — odrzucił stary w odpowiedzi.

Dziewczęta przesiadły się na inne miejsce.

— Tak! Opowiem, co mi się spodoba! — powtórzył Aslak — Wódka w brzuchu, rozum w głowie! Kto da popić, ten się dowie! — wyrecytował i klasnął w dłonie.

— Będziesz to gadał, co my każemy — powiedział człowiek na łożku — bo wódka jest nasza!

Aslak otworzył szeroko oczy.

— Cóż to ma niby znaczyć? — spytał.

— To znaczy, że ten, kto tuczy świnię, ma prawo ją zakłuć!

Aslak zamknął oczy, pochylił głowę, opuścił ją na piersi i milczał.

Odzywano się doń, zachęcano, ale udawał, że nie słyszy.

— Wódka go dobiła! — rzekł człowiek na łożku.

Usłyszawszy to Alsak otworzył oczy i roześmiał się.

— No dobrze! — zawołał — opowiem wam wesołą historyjkę, której nie słyszeliście jeszcze! — Śmiał się bezgłośnie oczami i całą twarzą.

— Dzisiaj jest naprawdę w humorze! — powiedział ojciec pana młodego.

— To za darmo! — zawołał Aslak i dodał, wyciągając rękę: — Ano, jeszcze kieliszek na drogę... zaraz ruszam z miejsca.

Nalano mu. Wypił powoli, przechylając kieliszek dnem do góry i mlaskając językiem, potem zwrócił się do leżącego na łóżku i powiedział z uśmiechem:

— Tak! Teraz jestem waszą świnia! — Roześmiał się, objął kolana rękami, pokiwał nogą, zakolysał ciałem i zaczął:

— Była pewnego razu dziewczyna. Żyła w dolinie pośród gór i lasów. Nazwa doliny nie ma nic do rzeczy, podobnie jak imię owej dziewczyny. Dziewczyna była piękna, podobała się wszystkim, a zwłaszcza gospodarzowi, u którego służyła. Dostawała dobre wynagrodzenie... dostała nawet więcej niż chciała, bo oto dostała w podarunku — dziecko! Ludzie mówili, że winien był gospodarz, ale on się do tego nie przyznawał, był bowiem żonaty, i ona także tego nie twierdziła, bo była dumna... dumna była biedaczka! I stało się, że przy chrzcie powiedziała kłamstwo. A syn, który jej się narodził, był to wielki gałgan i dlatego od razu z początku ochrzczony został fałszywie.

To mu nie mogło zaszkodzić, gdyż był z góry przeznaczony na łajdactwo. Dziewczyna dostała mieszkanie tuż pod osiedlem gospodarza i to, naturalnie, nie mogło się podobać jego żonie. Ile razy ją ujrzała, pluła na nią, a gdy malec przychodził bawić się z jej dziećmi, kazała wypędzać bękarta. Niegodzien był — jak mówiła — niczego innego.

Po całych dniach i nocach nalegała na męża, by precz odpędził biedaczkę. Opierał się długo, opierał się, póki był silny i panował nad sobą. Ale później rozpił się i rządy w domu objęła żona. Od tej chwili zaczęło być bardzo źle owej dziewczynie, z każdym rokiem coraz gorzej, tak że marła po prostu z głodu wraz ze swoim malcem, który nie chciał opuścić matki.

Mijały lata, minęło lat osiem, aż pewnego dnia musiała dziewczyna wynosić się precz! I wyniosła się pewnego ranka, ale poprzedniej nocy całe gospodarstwo stanęło w płomieniach. Spalił się gospodarz, gdyż był właśnie pijany, uciekła tylko żona wraz z dziećmi i oskarżyła dziewczynę, iż to ona wzniciła pożar. Może tak było... może nie... któż to odgadnie? Ale dziwny był chłopak, syn owej dziewczyny. Przez osiem lat przymierał wraz z matką głodem i wiedział dobrze, czyja to wina. Matka opowiadała mu nieraz całe swoje życie, kiedy pytał dlaczego ciągle płacze. Powtórzyła mu to raz jeszcze onej nocy, kiedy miała iść precz. Chłopaka nie było potem długo w domu... Dostała się na całe życie do więzienia, gdyż powiedziała sędziemu, że to ona przez zemstę puściła z dymem całe osiedle.

Chłopiec pozostał sam, ale ludzie mu pomagali, pomagali z litości, że miał taką złą matkę. Potem udał się w inną okolicę i tam już ludzie byli dlań gorsi, bo zapewne nie wiedzieli, że jego matka była podpalaczką i jakie było jego położenie... Zdaje się, nie powiedział im tego. Gdy go widział po raz ostatni był pijany i ludzie powiadali, że oddał się trunkowi. Czy to prawda, nie wiem, ale mówiąc między nami nie mógł uczynić nic lepszego. Wiercie mi państwo, jest to zły, z gruntu zepsuty chłopak. Nie znosi ludzi, nie chce, by byli dla siebie wzajem dobrzy, a nawet, by dla niego samego byli dobrzy. Pragnie wszystkich uczynić takimi, jaki jest sam, ale przyznaje się do tego wówczas jedynie, gdy jest pijany. Wtedy także płacze... płacze bez powodu, a łzy lecą jak grad... bez powodu... bo po cóż ma płakać? Mimo to płacze jak wściekły... płacze i płacze... Gdybyście słyszeli ten jego płacz... śmiałybyście się... bo płacze tylko z pijaństwa i nie jest odpowiedzialny za ten płacz.

Aslak, doszedłszy do tego miejsca rozplakał się w głos, przechylił w tył i spadł ze stolka, ale wnet uspokoił się zupełnie i zaczął chrapać.

— Urznął się jak świnia! — powiedział leżący na łóżku. — Zawsze tak płacze, kiedy się upije.

— To szkaradna historia! — zawyrokowały dziewczęta, wstały i wyszły.

— Ile razy opowiada, co sam zechce — zauważył jakiś starzec, wstając z ławy — zawsze musi coś takiego mówić! Nie mogę pojąć, jak ludzie mogą słuchać takich historii — dodał i spojrzął na pannę młodą.

Pijaństwo, Łzy

V

Kilka osób wyszło, inni zaczęli szukać muzykanta, by na nowo rozpoczął tańce. Ale skrzypek zasnął w rogu sieni na podłodze i niektórzy wstawiali się, aby mu dać spokój.

— Od kiedy zatłuczono na dobre Larsa, jego towarzysza pomocnika, musi biedny Ole grywać po całych dniach i nocach! — tak mówiono.

Tymczasem sprowadzono na podwórze wóz i poznoszono rzeczy Torbjörna oraz zaprzężono konie do innego wozu, mimo próśb chciał bowiem koniecznie jechać do domu. Pan młody zwłaszcza nalegał, by został.

— Nie ma tu dla mnie, prawdę mówiąc, tej radości, jak by się zdawało — powiedział doń.

Słowa te zastanowiły Torbjörna, ale upierał się wracać do domu przed zachodem słońca. Widząc, że nie ustępuje, goście weselni rozproszyli się po całym obejściu. Było dużo ludzi, ale panowała cisza i wszystko razem nie robiło wrażenia radosnego dnia weselnego. Torbjörn spostrzegł, że brak mu podkulkę przy wozie, poszedł tedy go szukać. Ponieważ na podwórzu nie znalazł zdatnego kawałka drzewa, poszedł dalej, natrafił na drewnię i wszedł do środka. Szedł cichy, zamyślony, bo nie mógł zapomnieć słów nowożeńca. Znalazł to, czego szukał, ale nie wracał. Usiadł pod ścianą z drewnem i nożem w rękę.

Naraz usłyszał, że ktoś jęczy w pobliżu. Głos dobywał się spoza cienkiej ścianki, gdzie za przegrodą stały wozy. Nastawił uszu.

— Czy to ty? — pytał męski głos, wymawiając słowa z wysiłkiem, z przerwami, stękając z bólu.

Usłyszał też płacz. Płakała kobieta.

— Czemu przyszedłeś na wesele? — spytał głos kobiety. Musiała to być owa płacząca niewiasta, bo mówiła przez łyż.

— Ha... na czymże weselu miałem grać, jeśli nie na twoim?

„To pewnie grajek Lars, którego srodze zbito — pomyślał Torbjörn. — Ale któż jest ta kobieta? Pewnie sama panna młoda!”

Lars był to śliczny, wysmukły chłopak, który mieszkał kątem wraz ze swoją starą matką w jednej z chałup należących do posiadłości Nordhaugów.

— Czemu nigdy nie powiedziałeś wyraźnie? — spytała głosem, w którym przebijało silne wzruszenie.

— Myślałem, że to między nami niepotrzebne! — odparł żywo.

— Wiedziałeś przecież, że on przysłał swatów?

— Myślałem, że masz więcej charakteru!

Znowu słychać było jeno płacz. Nagle wyjąknęła kobieta:

— Czemu nie powiedziałeś wyraźnie?

— Synowi starej Berty nie na wiele by się zdało konkurować do córki Nordhaugów! — odparł po chwili z goryczą. Potem słychać było jęk i ciężki oddech. Zdawało się, że czeka na jej odpowiedź.

— Przez tyle lat widywaliśmy się codziennie... — szepnęła.

— Byłaś zbyt dumna, bym się odważył pogadać z tobą na dobre.

— A jednak nie było na świecie nic, czego bym bardziej pragnęła... czekałam z dnia na dzień... za każdym spotkaniem czekałam na to słowo! Wydawało mi się, że ci się wprost narzucam! Na koniec byłam pewna, że mnie nie chcesz... że pogardzasz mną!

Zapadła cisza. Ani płaczu, ani nawet oddechu Larsa.

Torbjörn pomyślał o nowożeńcu, chłopcu, o ile wiedział, pocziwym i porządnym... i uczył dłoń litość.

Odezwała się znowu:

— Obawiam się, że on niewiele będzie miał pożytku ze mnie.

— On jest zacnym człowiekiem! — powiedział chory i znów zaczął jęczeć.

Widocznie musiały go bardzo boleć piersi. Zapewne współczuła jego cierpieniu, gdyż rzekła:

— Bardzo cierpisz... bardzo? Ale pomyśl... inaczej nie moglibyśmy pomówić, nie przyszłoby do tego wyjaśnienia. Kiedy uderzyłeś Knuta, w tej chwili wszystko zrozumiałam.

— Nie mogłem znieść dłużej! — odrzekł, a po chwili dodał: — Knut to zły człowiek!

— O zapewne! — potwierdziła — dobry nie jest!
Milczeli przez chwilę, potem ozwał się Lars:
— Dziwiłbym się bardzo, gdybym odzyskał zdrowie. Zresztą teraz mi wszystko jedno!
— Źle z tobą, ale ze mną może jeszcze gorzej... — powiedziała i wybuchła płaczem.
— Już idziesz? — spytał.
— Tak... — a po chwili zalkała — Boże! Boże... cóż to będzie za życie!
— Nie płacz! — uspokajał ją. — Bóg wnet skróci moje męki, a po mojej śmierci ulży ci... zobaczysz!

— Boże! Boże! Czemuż nie powiedziałeś wyraźnie! — zawołała z cicha i zdawało się Torbjörnowi, że załamuje ręce.

Torbjörn myślał, że poszła, przeto po chwili wyszedł także z drewnutni i spytał pierwszego spotkanego gościa weselnego, jaki był powód sprzeczki pomiędzy Larsem a Knutem.

Zapytany ściągnął twarz w fałdy tak głębokie, jakby w nich chciał coś ukryć, i odparł:

— Doprawdy, dziwnie blahy był to powód. Knut spytał Larsa, czy skrzypce jego mają dobry ton na tym weselu.

W tej chwili przeszła mimo nich panna młoda. Odwróciła twarz, gdy jednak posłyszała nazwisko Larsa, spojrzała i Torbjörn zobaczył jej zaczerwienione, błędnie patrzące oczy. Ale wyraz jej twarzy był zimny, tak lodowato zimny, że Torbjörn nie mógł się pogodzić ze słowami, jakie słyszał przed chwilą, i znowu zadumał się, co to może znaczyć.

Zaprzęgnięty wóz czekał w podwórzu. Umocował podkulek i obejrzał się za panem młodym, chcąc się z nim pożegnać. Nie było go, a szukać nie chciał, przeciwnie: rad był, że go nie ujrzy po tym, co usłyszał. Siadł na wóz. Nagle od strony stodoły wszczął się tumult. Wybiegła gromada ludzi, a wysoki mężczyzna idący na czele krzyczał:

— Gdzież jest? Gdzie się schował?

— Tu! Tu! — wołali goście.

— Nie puszczajcie go! — doradzali inni. — Z tego gotowe wyniknąć nieszczęście!

— Czy to Knut? — spytał Torbjörn chłopca stojącego przy wozie.

— Tak! Jest pijany i w takich razach bez bitki się nie obejdzie.

Torbjörn śmignął batem, a koń ruszył.

— Nie! Nie! Zostań, przyjacielu! — krzyknął ktoś za nim.

Ściągnął lejce, ale koń nie stanął, przeto pozwolił mu iść dalej.

— Hej, Torbjörnie Granlien! Boisz się, widzę!

Zatrzymał konia, ale się nie odezwał.

— Złaż z wozu i pij ze mną! — krzyknął Knut.

— Dziękuję! — powiedział. — Muszę wracać!

Usiłowano go nakłonić, by został. Przy wozie zebrało się sporo ludzi. Knut stanął przed koniem, pogłaskał go, potem wziął jego głowę w dłonie i zaczął mu się przypatrywać. Był to wysmukły młodzieniec, miał konopiastą, szcecinowatą czuprynę i perkaty nos. Usta jego były szerokie, oczy niebieskie z bezczelnym wyrazem. Niewiele był podobny do siostry, miał tylko taki sam krój ust i proste, wysokie czoło. Wyglądał jednak ordynarnie, gdy ona była znacznie wykwińniejsza.

— Ile chcesz za tego konia? — spytał.

— Nie jest na sprzedaż! — odparł Torbjörn.

— Może myślisz, że nie mam pieniędzy?

— Nie wiem wcale, czy masz, czy nie masz!

— Wątpisz o tym! Ej, nie radzę ci obrażać mnie.

Parobczak, który przedtem bawił się włosami dziewcząt, powiedział do swego sąsiada:

— Knut jakoś nie ma dzisiaj odwagi.

Usłyszał to Knut.

— Nie mam odwagi? — krzyknął. — Kto to powiedział? Ja nie mam odwagi?

Wóz otoczyło sporo ludzi.

— Z drogi! — zawołał Torbjörn. — Usuńcie się, panowie! — Śmignął batem, gotów ruszyć.

— Ty gadasz do mnie, bym ustąpił z drogi? — wrzasnął Knut.

— Mówiłem o koniu, bo musi przejść. Odjeżdżam!

— Co, chcesz mnie przejechać? — wrzasnął znowu Knut.

— Ustąp, proszę cię!

W tej chwili koń podniósł głowę, bo inaczej musiałby nią uderzyć Knuta w pierś. Knut chwycił konia przy pysku, a biedne zwierzę myśląc, że znowu zostanie obite, zaczęło drżeć na całym ciele. Torbjörn doznał wyrzutów sumienia, że się aż tak zapomniał wobec bezrozumnego zwierzęcia, a jednocześnie zawrzał gniewem na Knuta. Podniósł się i trzasnął go batem przez głowę.

— Ośmielasz się mnie bić? — krzyknął Knut i zbliżył się.

Torbjörn zeskoczył z wozu.

— Jesteś zły człowiek! — powiedział, a twarz jego okryła błądź, oddał lejce chłopcu, który wyszedł z izby i ofiarował się trzymać konia.

Starzec, który wstał z ławy, kiedy Aslak skończył opowiadanie, przystąpił do Torbjörna, wziął go pod ramię i powiedział:

— Sämund Granlien jest zbyt znacnym człowiekiem, aby jego syn bił się z takim jak Knut rozbójnikiem.

Torbjörn uspokoił się trochę, ale Knut wrzasnął:

— Co, ja jestem rozbójnik? On taki dobry jak i ja, a jego ojciec równy jest mojemu ojcu! Chodź no, chodź! Ludzie jeszcze nie wiedzą, który z nas mocniejszy!

— Zaraz się dowiedzą! — odrzekł Torbjörn.

— Zupełnie jak dwa kocury! — odezwał się człowiek leżący poprzednio na łóżku. — Muszą sobie naprzód dodać odwagi wrzaskiem.

Torbjörn słyszał to, ale nic nie odrzekł. Jedni zaczęli się śmiać, inni oburzali się, że na tym weselu tyle bitek i że napastują człowieka przybyłego po pomoc, który chce spokojnie odjechać. Torbjörn obejrzał się za koniem. Ale chłopiec odprowadził go na bok i sam gapił się na rozpoczynającą się rozprawę.

— Za czym się oglądasz? — spytał Knut. — Tu nie ma Synnöwe!

— Cóż cię ona obchodzi?

— Nic... nic — odrzucił Knut — takie pobożnisie i obłudnice nic mnie nie obchodzą. Tego było Torbjörnowi za dużo.

Spojrzał wokoło, badając miejsce. Ale znowu wmieszali się dwaj starsi ludzie mówiąc, że Knut dosyć już na tym weselu narobił awantur i nieszczęść.

— Mnie nie robi nic! — powiedział Torbjörn i wszyscy zamilkli.

Inni zaś mówili:

— Niechby się rozprawili. Potem zostaną przyjaciółmi. I tak od dawna patrzą na siebie spode łba.

— Tak! — zauważył ktoś. — Jeden i drugi chce być pierwszym w całej dolinie. Przekonamy się teraz, który lepszy.

— Czy widział kto z was niejakiego Torbjörna Granlien? — spytał Knut. — Podobno był tutaj niedawno.

— Tak... oto jest! — odpowiedział Torbjörn i w tej chwili Knut dostał taki cios w prawe ucho, że się zatoczył na stojących poza nim ludzi.

Nastąpiła głęboka cisza. Knut zebrał się w sobie i bez słowa rzucił się na przeciwnika. Rozwinęła się walka na pięści. Jeden i drugi chciał dobrze pomacać współzawodnika, ale byli równi sobie, przeto każdy trzymał drugiego w należytej odległości. Torbjörn bił gęsto i, jak powiadano, ciosy jego były mocniejsze.

— Nareszcie trafił Knut na swojego przeciwnika! — powiedział chłopiec, który trzymał konia. — Z drogi... zróbcie miejsce!

Kobiety i dziewczęta rozbiegły się, jedna tylko panna młoda stała na szczycie schodów i patrzyła uważnie. Torbjörn rzucił na nią okiem i przerwał na moment walkę. Spostrzegłszy jednak nóż w ręku Knuta trzasnął go powyżej przegubu tak silnie, że ramię zwisło bezwładnie, a nóż wypadł na ziemię.

— Ach! Ależ ty bijesz! — zawołał Knut.

— Doprawdy? — odrzucił Torbjörn i natarł nań.

Knut bronił się słabo jedną ręką, przeto przeciwnik podniósł go i poniósł ze sobą, ale niełatwo było obalić go na dobre. Kilka razy rzucały o ziemię tak, że każdy inny byłby się poddał, Knut zrywał się na nogi. Miał twardy grzbiet. Torbjörn porwał go w ramiona i poniósł dalej, ludzie się rozpraszali w popłochu, a on szedł dookoła podwórza, aż zaszli

Bijatyka, Męczyzna

pod schody. Tu podniósł Torbjörn Knuta raz jeszcze i grzmotnął nim o ziemię z taką siłą, że sam się zachwiał w kolanach. Głowa Knuta zadzwoniła na płytach kamiennych, legł bez ruchu, jęknął i zamknął oczy.

Torbjörn rozejrzył się wokoło. Oczy jego spoczęły na pannie młodej, która stała jak skamieniała.

— Podłóżcie mu coś pod głowę! — powiedziała, obróciła się i weszła do domu.

Przeszły mimo dwie stare kobiety.

— Na miły Bóg! — zawołała jedna. — Znowu którychś leży na ziemi. Któż to taki?

— To sam Knut Nordhaug! — odpowiedział ktoś.

— Ano, to w przyszłości będzie pewnie mniej bijatyk — zauważyła druga. — Lepiej swych sił użyć na coś innego!

— Dobrześ powiedziała, Randi! — pochwaliła pierwsza. — Niechże ich Bóg oświeci, by myśli swe zwrócili do rzeczy wyższych!

Te słowa uczyniły silne wrażenie na Torbjörn. Nie przemówił dotąd, przypatrywał się tylko ludziom krzątającym się około Knuta. Ten i ów zaczepił go. Nie odpowiedział, obrócił się tylko i popadł w zadumę. Ujrzał w duchu Synnöwe i poczuł wstyd. Rozmyślał nad tym, w jaki sposób opowie jej o całym zajściu, i czuł, że nie tak łatwo skończył bitkę, jak mu się wydawało.

Nagle usłyszał wołanie:

— Bacność, Torbjörn!

Ale zanim zdążył się obrócić, uczył, że Knut chwyta go z tyłu za ramiona i padł wstecz. Jednocześnie poczuł gwałtowny ból, nie wiedział tylko, gdzie go boli. Słyszał głosy wokoło siebie, czuł, że jedzie, zdawało mu się, że sam powozi... ale dokładnie nie wiedział nic.

Trwało to dosyć długo. Zrobiło mu się zimno, potem znów gorąco, potem uczył się lekki, tak lekki, że unosił się w powietrzu, i przekonał się namacalnie, że fruwa z jednego drzewa na drugie, następnie wlatywał na górę, coraz wyżej i wyżej, aż na hale, i jeszcze wyżej na skalistą grań. Tam stała Synnöwe, pochyliła się nad nim, zapłakała i rzekła, że trzeba było powiedzieć — wyraźnie. Płakała długo i dodała, że Knut wszędzie jej zastępował drogę, iż w końcu musiała go przyjąć. Poglądziła go z jednej strony po twarzy, tak że uczył ciepło, a łzy jej płynęły takim strumieniem, że koszula cała przemokła mu na piersiach.

Na wielkim spiczastym kamieniu ukazał się nagle Aslak i zaczął zapalać wokoło drzewa, które trzeszczały i huczały, a gałęzie latały wokoło. Otwierał gębę, śmiał się i gadał, że to nie on uczynił, tylko jego zła matka.

Ujrzał potem swojego ojca, Sämunda, i zdziwił się, widząc, że rzuca wielkie wory ze zbożem wysoko w górę, tak wysoko, że wpadały w chmury i chmury je przyciągały. Zboże rozsypywało się niby mgła, a on dziwił się bardzo, że zboże może trzymać się w górze i rozplywać po całym niebie. Spojrzył na dół na Sämunda, a ten wydał mu się mały, coraz mniejszy, w końcu tak mały, że ledwo go mógł dostrzec na ziemi. Ale ciągle rzucał worki w niebo, coraz to wyżej i wołał: „naśladuj mnie, jeśli potrafisz!”.

Wysoko, gdzieś ponad chmurami stał kościół, a na jego wieży widniała jasnowłosa dziedziczka Solbakken. Trzymała w jednej ręce jasnoczerwoną chustkę, a w drugiej śpiewnik z psalmami i mówiła: „Nie dostaniesz się tutaj, póki się nie odzwyczaisz od klątw i bijatyk”... Nagle, gdy spojrzył lepiej, przekonał się, że to nie kościół, ale Solbakken połyskujące szybami w słońcu tak jaskrawo, że go ten blask ćmił i musiał zamknąć oczy.

— Ostrożnie! Ostrożnie, Sämundzie!

Postyszał jakiś głos i zbudziwszy się ze snu, uczył, że go niosą, a gdy otwarł oczy, ujrzał, że znajduje się w wielkiej izbie w Granlien. Na ognisku palił się suty ogień. Obok niego stała matka i płakała, a ojciec właśnie podsunął poden ramię, by go przenieść do sąsiedniej komnaty. Nagle ojciec cofnął rękę.

— Jeszcze żyje! — powiedział drżącym głosem do matki.

— Boże drogi, patrzy! — zawołała. — Torbjörn! Kochany Torbjörn, synu mój, co oni z tobą zrobili! — pochyliła się nad nim i gładziła jego policzki, a łzy spływały nań gorące. Czuł to dobrze.

Sämund otarł oczy rękawem koszuli, odsunął łagodnie matkę i powiedział:

— Lepiej go przenieść od razu!

Podsunał ostrożnie ramię pod jego plecy, drugie pod kolana.

— Trzymaj go za głowę — polecił matce — bo jej sam pewnie nie uniesie!

Wzięła jego głowę w ręce i poszła przodem, a Sämund troskliwie stosował swe kroki do jej kroku, by nie wstrząsnąć chorym. Za chwilę leżał Torbjörn na miękkim łóżku.

Gdy go ułożono i przykryto, spytał Sämund, czy parobek odjechał.

— Jeszcze tu jest! — odparła matka pokazując na podwórze. Sämund szybko otworzył okno i zawołał:

— Jeśli wrócisz za godzinę, dostaniesz podwójną pensję na Nowy Rok! Jedź, co koń wyskoczy!

Przystąpił znów do łóżka, Torbjörn patrzył przytomnie. Ojciec spoglądał nań długo, a oczy jego napelniły się łzami.

— Wiedziałem, że się tak skończy! — powiedział, obrócił się i poszedł.

Matka siedziała na niskim stołeczku u nóg syna i płakała z cicha. Torbjörn chciał coś powiedzieć, ale uczył, że to za wielki dla niego wysiłek, przeto milczał. Tylko oczu nie spuszczał z matki. Nigdy nie były tak piękne, połyskujące i uznał to za bardzo zły znak.

— Niech się Bóg nad tobą i nami zmiłuje! — wyszeptwała. — Wiem, że Sämund nie przeżyłby dnia twojej śmierci.

Torbjörn patrzył na nią nieruchomym spojrzeniem, a twarz jego była sztywna i zmartwiała. To spojrzenie przenikało matkę do głębi duszy. Zaczęła odmawiać „Ojcze nasz”, będąc pewna, że lada chwila zakończy życie. Siedząc tak, rozważała jak bardzo kochali wszyscy w całym domu Torbjörna. Potem wstała i pchnęła posłańca do Ingrid na halę, by wracała wraz z młodszym bratem. Wydawszy to polecenie, wróciła znowu na swe miejsce przy łóżku. Patrzył na nią ciągle i wzrok ten skierował jej myśli ku rzeczom wyższym. Wzięła w rękę *Biblię* i powiedziała:

— Przeczytam ci głośno ustęp, to ci dobrze zrobi!

Nie mając pod ręką okularów, otworzyła książkę na rozdziale, który od czasu swych lat młodzieńczych umiała na pamięć. Była to Ewangelia św. Jana. Nie była pewna, czy chory słyszy, bo leżał bez ruchu i wpatrywał się w nią tępo. Ale czytała do końca, jeśli dla niego, to dla samej siebie.

Ingrid wróciła rychło, by pomóc matce w czuwaniu nad bratem. Ale Torbjörn spał teraz. Ingrid zaczęła płakać jeszcze na halach i łzy jej płynęły bez ustanku.

Myślała o Synnöwe, która jeszcze nie wiedziała o niczym.

Przyjechał lekarz i zbadał chorego. Torbjörn otrzymał głębokie pchnięcie nożem w plecy, a poza tym miał dużo ran i sińców. Doktor nie powiedział nic, a nikt nie śmiał go pytać. Sämund wszedł wraz z nim do stancji i nie spuszczał oka z jego twarzy. Wyprowadził go na podwórze, pomógł wsiąść do dwukolnej karolki i zdjął czapkę, gdy doktor powiedział, że przyjedzie następnego dnia. Wówczas zwrócił się do żony i rzekł:

— Nic nie mów! Więc jest źle!

Głos mu drżał, nogi się pod nim uginały, obrócił się i poszedł na przełaj polami. Nikt nie wiedział, gdzie był. Nie wrócił ani wieczorem, ani w nocy, dopiero nazajutrz rano i wyglądał tak ponuro, że nikt o nic nie śmiał pytać.

— Co słyhać? — zagadnął Ingrid.

— Spał! — odrzekła. — Ale jest tak osłabiony, że nie może podnieść ręki.

Ojciec chciał wejść, by go zobaczyć, ale zawrócił od samych drzwi stancji, gdzie leżał Torbjörn.

Doktor przyjechał i bywał odtąd codziennie. Torbjörn mógł już mówić, ale zabroniono mu ruszać się. Ingrid siedziała ciągle przy nim na przemian z matką i młodszym bratem, ale nie pytał o nic, a oni też nie odważyli się zadawać mu pytań.

Ojciec nie wchodził nigdy do stancji chorego, tak że Torbjörn zwrócił na to uwagę. Ile razy ktoś otwierał drzwi, spoglądał uważnie, a wszyscy byli pewni, że oczekuje ojca. W końcu spytała Ingrid, czy chce jeszcze go zobaczyć.

— Widocznie... on nie chce mnie widzieć! — odpowiedział.

Opowiedziano to Sämundowi, ale nie ozwał się słowem, tylko tego dnia, gdy przybył lekarz, nie było go w domu. Lekarz odjechał już spory kawałek od osiedla, gdy nagle spostrzegł Sämunda siedzącego przy drodze. Sämund przywitał się, a potem spytał o stan syna.

— Strasznie go pokaleczono! — powiedział lekarz.

Ojciec, Syn, Łzy,
Męczyzna

— Czy wyjdzie z tego? — spytał Sämund i zaczął majstrować koło popręgu konia.

— Dziękuję — rzekł lekarz — ale wszystko jest przecież w porządku.

— Był za mało przyciągnięty! — odparł Sämund.

Nastąpiła chwila milczenia. Lekarz patrzył uważnie na Sämunda, ale stary człek tak był zajęty popręgiem, że nań nie spojrział.

— Pytał pan, czy wyjdzie z tego? — zaczął lekarz. — Zdaje mi się, że wyjdzie...

Sämund spojrział nań szybko.

— Więc nie ma niebezpieczeństwa — rzucił.

— Już od kilku dni nic mu nie grozi! — odrzekł lekarz.

Do oczu Sämunda rzuciły się łzy. Chciał je powstrzymać, ale płynęły mimo to.

— Wstyd mi doprawdy... — jękał — wstyd mi, że płacę, ale, doktorze, dzielniejszego chłopca nie ma w całej dolinie, w całej parafii.

Doktor uczył wzruszenie.

— Czemuż nie pytałeś pan dotąd?

— Nie miałem odwagi! — odrzekł Sämund, polykając łzy. — Zresztą te kobiety... gapily się na mnie, ile razy chciałem pytać i słowa grzęzły mi w gardle.

Doktor zaczął, aż się uspokoi. Potem Sämund spojrział bystro w oczy lekarza i spytał:

— Czy odzyska zdrowie?

— Do pewnego stopnia! — odrzekł tamten. — Nie da się o tym na razie nic pewnego powiedzieć!

Sämund rozważał przez chwilę jego słowa.

— Do pewnego stopnia... — zamruczał pod nosem, patrząc w ziemię.

Doktor nie przerywał mu. Było coś w Sämundzie, co nakazywało szacunek. Nagle Sämund podniósł głowę i rzekł:

— Dziękuję panu doktorowi za dobrą wieść! — podał mu rękę i odszedł.

W tym czasie siedziała przy Torbjörnie Ingrid.

— Jeśli się czujesz na siłach — powiedziała — to opowiem ci coś o ojcu.

— Mów... — odrzekł chory.

— Pierwszego wieczoru po bytności doktora ojciec wyszedł, a nikt nie wiedział, dokąd się udał. On zaś poszedł do Nordhaug na wesele. Gdy się zjawił, przerażenie ogarnęło gości. Siadł przy stole i pił, nawet panu młodemu wydawało się, że trochę sobie podpił.

Potem zaczął rozpytywać o przebieg całego zajścia i dowiedział się wszystkiego dokładnie. Naraz pojawił się Knut, a ojciec chciał, aby on sam opowiadał, i wyszedł z nim na podwórze, na to miejsce, gdzie się odbyło spotkanie z tobą. Wszyscy goście weselni otoczyli ich i słuchali. Knut mówił, jak mu dojechałeś, obezwładniając jedno ramię. Ale nie chciał ciągnąć dalej opowiadania. Wówczas ojciec skoczył i spytał, czy przypadkiem nie stało się to tak? W tej chwili chwycił Knuta, podniósł w górę, położył na kamieniach, na których były jeszcze ślady twojej krwi i trzymając go ręką lewą, prawą przyłożył mu nóż do gardła.

Knut pobladł, wszyscy goście zamilkli. Niektórzy mówili, że ojcu łzy płynęły z oczu i spadały na Knuta, który nie bronił się wcale. Ale ojciec nic mu złego nie uczynił. Podniósł go z ziemi i znów położył, i ponownie przyłożył mu sztych do gardła.

— Nie mogę się przewyciężyć, by cię puścić zdrowo! — powiedział, trzymając go mocno pod sobą. Zjawiły się dwie stare kobiety, a jedna z nich ozwała się:

— Sämundzie Granlien! Wspomnij o żonie i reszcie twoich dzieci, czy ojciec ich ma zostać mordercą?

Wówczas, powiadają, Sämund puścił Knuta i za chwilę gdzieś zniknął, a Knut tak się zawstydził, że umknął chyłkiem z wesela i nie pokazał się na nim do końca.

Ledwo Ingrid skończyła opowiadać, ktoś uchylił drzwi. Był to ojciec. Wysła niezwłocznie, ustępując mu miejsca. O czym rozmawiał z synem, tego nikt się nigdy nie dowiedział. Matka stała pod drzwiami i wpadło jej do ucha, że rozprawiano o tym, czy i jak dalece odzyska Torbjörn dawne siły i zdrowie. Ale nie była pewna, a wchodzić nie śmiała, póki mąż był u syna. Gdy Sämund wyszedł, zauważono, że oczy jego były zaczerwienione, a stary był w nastroju niezwykle łagodnym.

— Nie umrze! — powiedział do żony mimochodem. — Ale Bóg jeden tylko wie, czy odzyska siły...

Ingeborga rozplakała się i wyszła za mężem na podwórze. Tam siedli na schodach lamusa i rozmawiali długo o różnych sprawach.

Gdy Ingrid wsunęła się cicho do stancji brata, Torbjörn trzymał w ręku małą kartkę papieru i powiedział powoli i spokojnie:

— Tę kartkę musisz dać Synnöwe, gdy się tylko z nią spotkasz.

Ingrid przeczytała kartkę i rozplakała się rzewnie, gdyż było tam napisane:

Do

Szanownej Panny Synnöwe,
córci Guttorma w Solbakken

Gdy przeczytasz tę kartkę, wiedz, że między nami wszystko skończone.

Nie jestem tym człowiekiem, którego chcesz. Niech Bóg mnie i Ciebie ma w swojej opiece.

Torbjörn, syn Sämunda z Granlien.

VI

Synnöwe dowiedziała się zaraz nazajutrz po wypadku, że Torbjörn był na weselu w Nordhaug. Młodszy jego brat przybył z wieścią na hale, ale Ingrid nauczyła go przed wyjściem z domu, co ma powiedzieć. Synnöwe dowiedziała się więc tylko, że koń się spłoszył i Torbjörn udał się do Nordhaugów po pomoc, następnie, że doszło do sprzeczki i bójki z Knutem, który lekko ranił go nożem, ale nie ma niebezpieczeństwa, mimo iż musi leżeć w łóżku.

Tak podana wiadomość zasmuciła ją raczej niż przeraziła i smutek jej wzrastał, w miarę jak nad tym myślała. Więc znowu rozwiały się owe piękne obietnice, nie zmienił się ani na włos, a rodzice znów mu będą mieli coś do zarzucenia. Tak rozmyślała Synnöwe. Nie dopuszczała jednak myśli, by to ich mogło rozłączyć.

Wieści nierychło przedostawały się na hale, więc dopiero po kilku dniach otrzymała świeże wiadomości. Ciężyla jej bardzo niepewność, a ponieważ Ingrid nie wracała, zaczęła odczuwać obawę i domyślać się, że jest dużo gorzej niż jej mówiono. Zaprzestała śpiewania wieczorami, gdy bydło wracało do zagrody, a w nocy nie mogła spać, bo brakło jej towarzystwa przyjaciółki. Pewnego dnia czuła się bardzo przygnębiona, chcąc się tedy rozerwać pracą, zaczęła szorować kadzie na mleko i skopki, a na odmianę robiła serki i masło.

Ale praca jej nie szła, robiła wszystko z widocznym przymusem, tak że młodszy brat Torbjörna i drugi chłopiec przyjęty do pomocy byli pewni, że między nią a Torbjörnem musiało coś zająć, i zaczęli snuć na ten temat różne domysły.

W tydzień po odejściu Ingrid Synnöwe była jeszcze smutniejsza i bardziej przygnębiona niż zazwyczaj. Przez tak długi czas nie miała żadnej wieści. Porzuciła robotę i siadła na wzgórk, skąd roztaczał się widok na całą okolicę. Zdawało się jej, że ten widok zastąpi w pewnej mierze towarzystwo, a nie chciała pozostawać sama. Siedziała długo, na koniec ogarnęło ją znużenie, położyła się we wrzosach i zasnęła. Ale słońce dogrzewało, przeto jej sen nie był spokojny. Śniło jej się, że jest u siebie w Solbakken, w sypialni, której okno wychodzi na ogród. Kwiaty ślą upojny zapach, ale zapach to jakiś inny, nie ten, do którego nawykła. Wyjrzała przeto oknem i spostrzegła Torbjörna sadzącego na grzędce wrzosy.

— Cóż to robisz, kochany Torbjörnie? — spytała.

— Kwiaty nie darzą się tutaj! — odparł i wziął się na nowo do roboty.

Żał jej zrobiło kwiatów i poprosiła, by je przyniósł do pokoju.

— Uczynię to chętnie! — odparł, pozbierał wyjęte z ziemi kwiaty i przyniósł jej.

W tej chwili weszła matka i krzyknęła:

— Cóż to? Wpuszczasz do siebie tego nicponia?

Skoczyła i stanęła między Synnöwe i Torbjörnem. Ale on chciał się do niej zbliżyć i zaczął bić się z matką.

— Mamo... mamo! — krzyknęła z płaczem. — On mi chce tylko przynieść moje kwiatki!

— Wszystko mi jedno! Niech się stąd wynosi — odparła matka i rzuciła się na Torbjörna.

Synnöwe była przerażona, nie wiedziała, komu ma życzyć zwycięstwa. Pragnęła tylko, by żadne z nich nie zostało pokonane.

— Uważaj na kwiatki! — zawołała. Ale oni nie zważali na nic, bili się i kwiatki rozsypały się po całym pokoju. Deptali po nich oboje: i matka, i Torbjörn. Synnöwe zaczęła płakać. Torbjörn w chwili, kiedy rozsypał kwiaty, stał się nagle brzydki, straszliwie brzydki i odrażający. Włosy miał długie i zmierzwione, twarz ogromną i wykrzywioną, oczy zaczęły miotać błyski, u palców wyrosły mu długie pazury i szponami tymi pochwycił matkę.

— Mamo... mamo... strzeż się... czy nie widzisz, że się zmienił!

Krzyzczała i chciała spieszyć na pomoc matce, ale nie mogła się ruszyć z miejsca.

Nagle ktoś na nią zawołał, raz i drugi raz... Torbjörn wybiegł na pole, a matka pośpieszyła za nim. Znowu posłyszała wołanie:

— Jestem... Idę! — odkrzyknęła Synnöwe i zbudziła się.

— Synnöwe! — wołał ktoś.

— Idę... idę! — powtórzyła.

— Gdzie jesteś?

„To matka woła!” — pomyślała i poszła ku hali, gdzie stała matka ze sporym koszykiem w ręku.

— Czemuż się kładziesz i śpisz na gołej ziemi? — spytała matka.

— Byłam tak znużona, że się położyłam na chwilę i zasnęłam! — odparła Synnöwe.

— Nie rób tego na drugi raz — ostrzegła matka. — W koszyku jest coś dla ciebie — dodała. — Upiekłam placek, bo ojciec wybiera się do miasta.

Ale Synnöwe czuła dobrze, że matka nie z tego powodu przyszła i że nie darmo o niej śniła.

Podziękowała za to, co jej przyniosła i odkryła koszyk, by zbadać jego zawartość.

— Zobaczysz potem — powiedziała matka — teraz słuchaj! Zauważyłam, że kadziki i skopki dawno nie były szorowane. Musisz to zrobić, drogie dziecko, przed spaniem.

— Dzisiaj tak jakoś zasłabłam...

— Chodź, pomogę ci trochę, skoro tu już przyszła! — oświadczyła matka, zakasując spódnicę. — Musisz się przyzwyczaić do porządku, czy na ciebie patrzę, czy nie!

Poszła do mleczarni przodem, a Synnöwe udała się za nią powoli. Zdjęły z półek naczynia i zaczęły je szorować. Matka zbadała całe urządzenie mleczarni i wyraziła swe zadowolenie, udzielała córce ciągle rad, pouczała, jak się do czego brać, pomagała jej szorować, zamiatać i tak mijały godziny. Podczas roboty matka opowiadała szeroko i długo o przygotowaniach, by ojca wyprawić w drogę, a potem spytała, czy Synnöwe czytuje codziennie *Biblię* przed udaniem się na spoczynek.

— Inaczej nie będzie ci się darzyć praca przez cały dzień! — zapewniała córkę.

Gdy wszystko było gotowe, wyszły obie przed kolibę i siadły w trawie, oczekując powrotu bydła. Po chwili spytała matka, czy Ingrid wnet wróci na hale. Ale Synnöwe nie wiedziała więcej od niej samej.

— Tak teraz postępują ludzie! — westchnęła matka.

Synnöwe wiedziała, że nie ma na myśli Ingrid, ale kogoś innego. Nie śmiała jednak skierować rozmowy na upragniony temat.

— Kto nie ma Boga w sercu, tego dotyka jego palec, i to w chwili, gdy się tego najmniej spodziewa! — powiedziała matka.

Synnöwe milczała.

— Zawsze to mówiłam! Z tego chłopaka nic nie będzie! Któż widział tak postępować... pfe!

Patrzyły obie w dolinę, nie chcąc spojrzeć sobie wzajem w oczy.

— Czy wiesz, co z nim słychać? — spytała nagle matka, rzucając przelotne spojrzenie na córkę.

— Nie wiem... — odparła Synnöwe.

— Bardzo z nim źle!

Synnöwe uczuła, że jej serce bić przestało.

— Czy mu co grozi? — szepnęła.

— No... tak! Dostał pchnięcie nożem w bok i cały prócz tego pokaleczony...
 Krew uderzyła dziewczynie do twarzy. Odwróciła głowę, by matka tego nie zauważyła.
 — Ale może przetrzyma? — spytała głosem możliwie spokojnym. Matka spostrzegła, że pierś jej faluje gwałtownie, więc odparła:
 — Pewnie się wyliże. Jest mocny!
 Synnöwe wiedziała teraz, że stało się coś strasznego.
 — Czy leży w łóżku? — spytała.
 — No, naturalnie. To bardzo smutna sprawa dla rodziców... Tacy zacni ludzie... I wychowali dobrze syna... Przynajmniej nie ponoszą winy w oczach Boga!
 Synnöwe drżała na całym ciele, a matka mówiła dalej:
 — Jak to dobrze, że żadna dziewczyna nie związała się z nim. Bóg wszystkim kieruje najlepiej...
 Synnöwe uczyła taki zawrót głowy, że omal nie spadła ze wzgórza.
 — Zawsze mówiłam ojcu: „Niech nas Bóg strzeże... mamy jedną tylko córkę, dlatego musimy dawać pilne baczenie...”, tak zawsze mówiłam. Ojciec ma miękkie serce mimo swej dzielności, więc dobrze, że szuka rady tam, gdzie zawsze znaleźć ją można, to jest w słowie bożym...
 Synnöwe wspomniała, jak dobry był zawsze dla niej ojciec, i łzy napłynęły jej do oczu. Nie mogła ich powstrzymać. Zakała głośno.
 — Czemu płaczesz? — spytała matka, starając się spojrzeć w jej pochyloną nisko twarz.
 — Myślę o ojcu... — jękała i... znowu łkanie wstrząsnęło jej piersią.
 — Co to?... Co ci jest, dziecko? — pytała matka.
 — Sama nie wiem... coś mi się tak... gdyby mu się w drodze coś przytrafiło...
 — Cóż to za gadanie? Cóż mu się stać może? Do miasta wiedzie prosty i równy gościniec!
 — Tak... ale pomyśl, mamo, co... się... się stało z... tamtym!
 — Z tamtym?... No... ojciec dzięki Bogu nie jedzie jak wariat. Wróci wesoły i zdrowy, jeśli Bóg nie wypuści go ze swej świętej opieki.
 Nieustające łzy Synnöwe dały matce wiele do myślenia. Powiedziała nagle:
 — Są na świecie różne zmartwienia, nieraz nawet bardzo ciężkie. Musimy się tym pocieszać, że mogłoby być jeszcze dużo gorzej.
 — Ach, to smutna pociecha! — powiedziała Synnöwe i płakała dalej.
 Matka nie miała odwagi wypowiedzieć tego wszystkiego, co jej leżało na sercu, rzekła tedy tylko:
 — Pan Bóg kieruje często sprawami ludzkimi w sposób widzialny. I tutaj zachodzi ten przypadek.
 Wstała, bo usłyszała porykiwanie zbliżającego się stada. Dzwonki tęniły, rozbrzmiewały drewniane trąby pasterzy, a krowy zstępowały z wolna na niżej położoną hałę. Były najedzone, a przeto pokojowo i wesoło usposobione. Matka wezwała Synnöwe, by z nią poszła naprzeciwko stada. Uczyniła to z ociąganiem i stąpała powoli, ze spuszczoną głową.
 Karen Solbakken zajęła się witaniem krów. Każda z nich poznawała ją po kolei, zbliżała się i ryczała z zadowolenia. Gładziła je, klepała po karkach i była uszczęśliwiona, widząc, jak są dobrze odżywione.
 — O tak... — powiedziała — Bóg nie opuszcza tego, kto w nim złożył swą ufność!
 Pomagała Synnöwe zapędzić bydło, bo córka była dziś do niczego. Potem pomogła jej w dojeniu, mimo że ją to zatrzymało dłużej niż postanowiła. Gdy mleko było już precedzone, a matka zabierała się do powrotu, Synnöwe chciała ją kawałek odprowadzić.
 — Nie... nie! — powiedziała. — Jesteś znużona, połóż się spać!
 Podała jej rękę, wzięła pusty koszyk i powiedziała na pożegnanie:
 — Przyjdę niedługo zobaczyć, co słychać z tobą. Trzymaj się, dziecko, myśl o nas, rodzicach swych, a nie troszcz się o resztę!
 Ledwie matka odeszła, zaczęła Synnöwe dumać, w jaki sposób mogłaby najszybciej otrzymać wieści z Granlien. Przywołała brata Torbjörna, ale gdy się zjawił, nie miała odwagi zwierzyć mu się i odesłała go z powrotem. Postanowiła iść sama. Ingrid nie dawała znaku życia. Noc była jasna i pogodna, a osiedle nie było tak odległe, by to miało stanowić

przeszkodę w tak ważnej dla niej sprawie. Chwilę jeszcze podumała nad słowami matki, popłakała trochę, a potem zarzuciła chustkę i poszła boczną ścieżką, aby nie zwracać uwagi chłopców.

Im dłużej szła, tym bardziej jej było spieszo, tak że w końcu biegła drożyną leśną, a małe kamyczki oderwane od skał biegły za nią i przed nią i przerażały ją hałasem. Wiedziała, że to tylko kamienie, a jednak zdawało jej się, że ktoś kroczy za nią. Przystawała wtedy nasłuchując. Nie... nie było nikogo. I znów biegła jeszcze szybciej. Nagle skoczyła na głaz utkwiony jednym końcem w ziemi. Pod wstrząśnięciem oderwał się od reszty i ledwo zdążyła uskoczyć. Głaz stoczył się w dół, czyniąc okrutny łomot, objając się po krzakach i drzewach. Synnöwe drżała ze strachu, a przeraziła się jeszcze bardziej, spostrzegłszy na dole na drodze jakąś postać. Zrazu myślała, że to dziki zwierz. Stała, wstrzymując oddech. Stwora owa przystanęła również.

— Oj! — krzyknął ktoś na widok pędzącego głazu.

Poznała matkę.

Uskoczyła w bok i skryła się za grubą sosnę, czekała tam przez dobrą chwilę, by matka tymczasem mogła się oddalić. Potem szła powoli i niebawem znalazła się niedaleko zabudowań w Granlien.

Na ich widok doznała uczucia pewnej trwogi, wzrastającej w miarę zbliżania. Panowała cisza. Kilka narzędzi gospodarczych stało opartych o ścianę, obok leżał stos zrąbanego drzewa opałowego, a siekiera tkwiła w kłocu. Przeszła mimo niego ku drzwiom. Zatrzymała się, słuchając. Cicho było wszędzie. Stała, namyślając się, czy ma iść na górę do sypialni Ingrid, gdy nagle wspomniała, iż taka sama musiała być owa noc, kiedy Torbjörn przyszedł do jej ogrodu sadzić kwiatki. Szybko tedy zwała trzewiki i wśliznęła się schodami na pięterko.

Ingrid przeraziła się na dobre, gdy ją Synnöwe zbudziła.

— Co z nim słyhać? — spytała Synnöwe.

Dopiero teraz przyszła Ingrid do przytomności i chcąc zwlec z odpowiedzią, sięgnęła po ubranie. Ale Synnöwe usiadła na łóżku, poprosiła, by leżała, i powtórzyła pytanie.

— Już mu teraz lepiej. Droga Synnöwe — mówiła Ingrid — niedługo przyjdę do ciebie na hale.

— Ach Ingrid! — prosiła Synnöwe. — Nie taj przede mną niczego. Przypuszczam wszystko najgorsze, przeto się nie przerażę.

Ingrid jeszcze chciała się wykręcać, ale strach Synnöwe był tak wielki, że nie mogła się oprzeć. Szeptem padały pytania i szeptem odpowiedzi. Wokół panowała uroczysta cisza, a powaga chwili pozwalała najsroźszej prawdzie spojrzeć w oczy.

Doszły obie do przekonania, że wina Torbjörna była bardzo mała i że nic nie przeszkadza Synnöwe współczuć jego nieszczęściu. Obie płakały rzewnie po cichu. Synnöwe rozplýwała się po prostu we łzach.

Ingrid chciała ją rozweselić wspomnieniami szczęśliwych chwil przeżytych razem, ale jak to często bywa, szczegóły te pogarszały jeno jej ból.

— Czy nie pytał o mnie? — szepnęła Synnöwe.

— Prawie nic nie mówi!

Ingrid przypomniała sobie o kartce i ciężko jej się zrobiło na sercu.

— Czy nie może mówić? — pytała Synnöwe.

— Nie wiem... doprawdy nie wiem tego... — zaręczała Ingrid i dodała:

— Ale pewnie tym więcej za to myśli.

— Czy czytuje?

— Matka czytuje mu czasem i to go cieszy.

— Cóż powiada?

— Widzisz... on prawie wcale nie mówi! Leży tylko na wznak i patrzy prosto przed siebie. Nic więcej.

— Czy leży w świetlicy?

— Tak.

— Twarzą zwróconą ku oknu?

— Tak.

Zamilkły na chwilę. Potem rzekła Ingrid:

— Ten wiatraczek świętojański, który mu kiedyś dałaś, wisi dotąd u okna i kręci się na wietrze.

— Tak... tak... teraz mi już wszystko jedno! — powiedziała Synnöwe z naciskiem. — Nikt na świecie nie zdoła mnie z nim rozłączyć! Niech się dzieje, co chce!

Ingrid stropiła się.

— Doktor nie jest pewny, czy wróci do dawnych sił i zdrowia! — zauważyła.

Synnöwe stłumiła płacz, podniosła głowę i spojrzała w milczeniu na Ingrid. Potem znów skuliła się i łzy popłynęły po jej policzkach. Złożyła ręce, uspokoiła się, siedziała chwilę bez ruchu. Nagle zdawało się, że powzięła postanowienie. Wstała, uśmiechnęła się, pochyliła się nad Ingrid i ucałowała ją serdecznie.

— Jeśli zostanie kaleką, będę go pielęgnowała. Zaraz to powiem rodzicom.

Ingrid była tym wzruszona do głębi. Ale zanim zdołała odpowiedzieć, Synnöwe uściśnęła jej rękę.

— Żegnam cię Ingrid! — powiedziała. — Wracam na hale!

Obróciła się rażno, by odejść.

— Kartka dla ciebie! — szepnęła Ingrid.

— Kartka? — zdziwiła się Synnöwe.

Ingrid wstała i przyniosła kartkę. Lewą ręką wsunęła ją za gors Synnöwe, a prawą objęła ją za szyję i serdecznie ucałowała, a Synnöwe uczuła na twarzy łzy przyjaciółki. Potem Ingrid pchnęła ją delikatnie ku drzwiom i zamknęła je zaraz, bo nie miała odwagi patrzeć na to, co nastąpi.

Synnöwe po cichu w pończochach zeszła po schodach, ale dużo myśli wirowało jej w głowie, przeto potrąciła jakiś przedmiot. Przeraziła się, skoczyła prędko na próg, przebiegła z trzewikami w rękach koło zabudowań, dopadła bramy, tam stanęła, wdziała obuwie i szybkim krokiem pospieszyła ku góróm. Krew tętniła jej w skroniach. Szła szybko, nucąc swoim zwyczajem jakąś piosenkę z cicha, w takt kroków. Kroczyła coraz to prędzej, aż wreszcie zmęczenie zmusiło ją do odpoczynku.

Wtedy przypomniała sobie o kartce.

O świcie pies zaczął szczekać, chłopcy pobudzili się, dojono krowy i wyganiano je na paszę, a Synnöwe dotąd nie było.

Chłopcy wstali właśnie i dziwowali się, gdzie mogła zniknąć, bo spostrzegli, że łóżko jej było nietknięte, gdy zjawiła się niespodziewanie. Była blada i nie mówiła nic. Bez słowa przygotowała dla pasterzy śniadanie, włożyła do puszek zapas pożywienia dla każdego, potem pomagała w doju.

Ciężka mgła leżała jeszcze na niższych grzbietach gór, cała brązowozielona.

Hala lśniła od kropel rosy. Było zimno, a poszczekiwanie psa rozbrzmiewało echem po skalistych turniach.

Wypuszczano krowy po jednej. Poczawszy rzeźwy powiew ranka ryczały i spieszyły ku wyjściu, ale tam siedział już pies i zatrzymywał każdą z osobna, dopóki wszystkie nie znalazły się w gromadzie. Potem całemu stadu pozwolił wyjść swobodnie.

Rozdzwoniły się dzwonki zawieszane u szyi zwierząt, poszczekiwanie psa niosło się daleko, chłopcy dęli w długie trąby drewniane, zagłuszając się wzajemnie.

Synnöwe odwróciła się od tego obrazu pełnego życia i wesela i udała się na miejsce, gdzie zwykle przesiadywały obie z Ingrid. Nie płakała. Siedziała zamyślona, patrząc w dal i łowiąc uchem różne odgłosy, które w miarę oddalania stawały się coraz bardziej harmonijne.

VII

W jakiś czas po tych wszystkich zajściach siedzieli Guttorm i Karen w świetlicy w Solbakken i czytali sobie wzajem ustępy z nowych książek przywiezionych z miasta. Byli rano w kościele, gdyż była to niedziela. Potem zrobili mały spacer po polach, by zobaczyć, jak wyglądają zasiewy i rozważyć, które kawałki roli mają na rok przyszły ugorować, a które trzeba będzie zasiać. Szli od jednej działki do drugiej i stwierdzali z zadowoleniem, że posiadłość poprawiła się w ich rękach w stosunku do tego, co objęli po ojcach.

— Bóg jeden wie, co się z tym stanie, gdy nas zabraknie — rzekła Karen.

Wówczas zaproponował jej Guttorm, by wrócili do domu i poczytali trochę, gdyż czytanie to najlepsza rzecz na odpędzenie złych myśli.

Gdy jednak przejrzeni nowe książki, Karen zauważyła, że stare są lepsze.

— Ludzie odpisują ciągle wszystko ze starych książek i to coraz gorzej! — powiedziała.

— Jest w tym trochę prawdy! — odparł Guttorm — Sämund powiedział mi dziś w kościele, że w dzieciach odnaleźć można z łatwością rodziców.

— Tak, widziałam! — powiedziała Karen. — Dużo mówiłeś dzisiaj z Sämundem.

— Sämund to człowiek rozsądny!

— Tylko za mało, zdaje mi się, dba o Pana Boga!

Guttorm nic na to nie odrzekł.

— Gdzie się podziała Synnöwe? — spytała żona.

— Jest w swojej izdebce.

— Byłeś przed chwilą u niej... cóż z nią słyhać?

— Hm... tak sobie...

— Czemuś ją zostawił samą?

— Ktoś do niej przyszedł...

— Któż taki?

— Ingrid Granlien.

— Myślałam, że jest jeszcze na hali!

— Dzisiaj właśnie wróciła do domu, by matka mogła iść do kościoła.

— Tak... nareszcie się pokazała...

— Ma bardzo dużo zajęcia...

— Innym też roboty nie brak, a znajdują czas, by iść tam, dokąd należy!

Guttorm znowu nic na to nie odrzekł. Po chwili ozwała się Karen:

— Wszyscy z Granlien byli dziś w kościele z wyjątkiem Ingrid.

— Towarzyszyli Torbjörnowi, bo po raz pierwszy od czasu wyzdrowienia był w kościele.

— Nieszczęśliwie wygląda!

— Lepiej, niż się wszyscy spodziewali. Ja sam się dziwię, że z tego wyszedł cało.

— Drogo opłacił swój wybryk!

Guttorm patrzył przez chwilę przed siebie.

— Jest jeszcze taki młody... — zauważył.

— Więc to ma być wytłumaczeniem? — zawołała. — Nie, on nie ma charakteru! Nie można mu zaufać!

Guttorm oparł łokcie o stół, wziął do ręki książkę i zaczął czytać. Ale udawał tylko, bo po chwili odezwał się.

— Mówią, że całkiem przyjdzie do zdrowia!

Teraz Karen wzięła również książkę.

— To bardzo dobrze! — odrzekła. — Chłopak śliczny, to prawda. Niechże mu Bóg da opamiętanie!

Czytali przez czas jakiś, na koniec Guttorm obrócił kartkę i powiedział:

— Widziałas, że ani razu na nią nie spojrział?

— Zauważyłam to. Siedział jak trusia, póki nie wyszła.

Kilka minut trwało milczenie, potem ozwał się Guttorm:

— Myślisz, że o niej zapomni?

— Byłoby to najlepsze!

Guttorm czytał dalej, żona także, obracając kartkę po kartce.

— Nie podoba mi się, że Ingrid tak długo u niej wysiaduje! — ozwała się Karen.

— Synnöwe nie ma prócz niej innego towarzystwa!

— Ma nas!

Guttorm spojrział na żonę.

— Nie trzeba być dla niej tak surowym!

Żona milczała chwilę, potem rzekła:

— Nie zabraniam jej wcale przychodzić!

Guttorm zamknął książkę, wstał i wyjrzał oknem.

— O... Ingrid odchodzi właśnie.

Karen ledwo to posłyszała, wyszła szybko ze stacji. Guttorm stał długo w oknie, potem obrócił się i zaczął chodzić po izbie. Gdy żona wróciła, zatrzymał się.

— Tak jest, jak myślałam! — powiedziała. — Synnöwe siedziała i płakała. Gdy weszłam, udała, że szuka czegoś w szufladzie. Nie chciała, by ktoś widział jej łzy!

Potem dodała, potrząsając głową:

— Do niczego ta cała przyjaźń z Ingrid.

Zaczęła przyrządzać wieczerzę, ustawicznie wchodząc i wychodząc. Właśnie gdy jej nie było, weszła Synnöwe. Oczy miała czerwone od płaczu. Przeszła tuż obok ojca i spojrzała mu w oczy. Potem siadła przy stole i wzięła do rąk książkę. Po chwili położyła ją i spytała wchodzącą matkę, czy może jej pomóc.

— I owszem! — odrzekła Karen. — Praca jest najlepsza na wszystko.

Synnöwe nakryła stół stojący blisko okna. Ojciec chodzący dotąd po izbie przystąpił tam właśnie i wyjrzał:

— Owies położony od deszczu podniósł się, jak widzę!

Synnöwe stanęła obok niego i popatrzyła także. Zwrócił się ku niej, ale w tej chwili matka była obecna, przeto pogładził ją tylko z lekka po włosach i znów rozpoczął przetrwaną wędrówkę.

Jedli w milczeniu.

Modlitwę przed i po posiłku odmawiała zawsze matka. Gdy skończyli, zaproponowała, by czytali i śpiewali hymny — i uczynili tak.

— Słowo boże to wielkie błogosławieństwo! — powiedziała Karen do córki, patrząc na nią, aż Synnöwe spuściła oczy ku ziemi.

— Teraz opowiem wam historyjkę! — oświadczyła matka. — Każde słowo jest w niej prawdą i może przysporzyć korzyści tym, którzy się zastanowią nad jej treścią.

Odchrząknęła i zaczęła:

— Za moich młodych lat żyła w Haug dziewczyna, wnuczka pewnego uczonego, starego człowieka. Wziął ją do siebie, gdy była mała, by mu była osłodą i pociechą starości, i oczywiście nauczył ją słowa bożego i wpoił dobre obyczaje. Pojmowała wszystko łatwo i uczyła się pilnie, tak że niebawem wyprzedziła wszystkie inne dzieci. W piętnastym roku życia umiała czytać, pisać i rachować, umiała też na pamięć wszystkie swoje szkolne książki i dwadzieścia pięć rozdziałów *Pisma Świętego*. Pamiętam wszystko, jakby to było wczoraj. Woląla siedzieć nad książką niż tańczyć, przeto bardzo rzadko widziano ją w miejscach rozrywek, a najczęściej przebywała w pokoju dziadka zastawionym od powały mądrymi książkami. Zazwyczaj, gdy ją kto zagadnął z nienacka, nie wiedziała, o co idzie, bo myślami była daleko. Wszyscy mówiliśmy sobie: „O, gdyby to można posiadać choć połowę tego rozumu, co Karen Haugen!”

Ponieważ miała odziedziczyć majątek dziadka, przeto zgłaszał się niejeden konkurent do jej ręki. Ale nie chciała żadnego. Właśnie w tym czasie przybył do Haug z uniwersytetu syn miejscowego pastora. Nie bardzo mu się wiodło z egzaminami, gdyż lubował się raczej w wesołym życiu studenckim niż w nauce, a w czasie ostatnim zaczął nawet pić.

— Miej się przed nim na baczności! — powiedział jej dziadek. — Długo przesta-
wałem z ludźmi inteligentnymi i zauważyłem, że mniej zasługują na zaufanie od naszych chłopców.

Karen powodowała się zawsze radami dziadka i gdy tylko spotkała syna pastora, schodziła mu zawsze z oczu. Ale on nie dawał jej spokoju, tak że niebawem spotykała go na każdym kroku.

— Czego chcesz! — powiedziała mu raz. — Nic ci z tego nie przyjdzie!

Ale on nie dawał za wygraną, tak że na koniec musiała wysłuchać jego oświadczeń. Był to rzeczywiście przystojny chłopak. Ale kiedy jej powiedział, że żyć bez niej nie może i w łeb sobie strzeli, uciekła przerażona. Chodził koło domu, gdzie mieszkała, stał nocami pod jej oknem, ale ona nie chciała mu się nawet pokazać. Powtarzał ciągle, że się zabije, ale Karen przekonała się, że to czyste gadanie. Na koniec popadł w straszne pijaństwo.

— Wystrzegaj się, dziewczyno! — powtarzał dziadek. — Wszystko to są sztuczki diabelskie!

Pewnego dnia znalazł się w jej pokoju, a nikt nie wiedział, jak to się stać mogło.

— Przychodzę zabić cię! — powiedział.

— Dobrze! Uczyn to, jeśli ci nie brak odwagi! — powiedziała.
On zaczął płakać i rzekł, że w jej mocy jest uczynić zeń porządnego człowieka.
— Czy porzucisz trunek na pół roku? — spytała.
I przez sześć miesięcy nie tknął wódki.
— Czy wierzysz mi teraz? — spytał.
— Uwierzę ci, jeśli na pół roku wyrzekniesz się wszystkich rozrywek towarzyskich i gier.

Tak uczynił.

— Czy wierzysz mi teraz? — spytał znowu.

— Uwierzę ci, gdy wrócisz na uniwersytet i dokończysz swych nauk teologicznych!

Uczynił to i po roku wrócił jako wyświęcony kapłan.

— Czy uwierzysz mi teraz? — ponowił pytanie.

— Muszę usłyszeć przedtem kilka twoich kazań.

Uczynił, jak chciała. Wygłosił wspaniałe kazanie, mówił o własnych występkach, wykazywał, jak łatwo poprawić się każdemu, byle tylko chciał zrobić początek i dowodził, jak ogromną potęgą jest słowo boże.

Potem stanął znowu przed Karen.

— Teraz wierzę — powiedziała mu — że będziesz żył wedle swoich słów. A ze swej strony zawiadamiam cię, że jestem zaręczona z moim kuzynem Andrzejem Haugenem i następnej niedzieli ogłosisz sam nasze zapowiedzi.

Na tym skończyła matka. Synnöwe z początku nie bardzo słuchała opowiadania, ale potem chwytła z ciekawością każde słowo.

— I na tym koniec? — spytała żywo.

— Koniec! — powiedziała matka.

Guttorm patrzył na żonę, ale ona unikała jego spojrzenia. Po chwili, wodząc palcem po stole, dodała z wahaniem:

— Może i nie koniec, zresztą... ale to już do rzeczy nie należy.

— Cóż jeszcze? — spytała Synnöwe ojca, któremu ta historia wydawała się znana.

— Jeszcze coś... ale matka powiada, że to do rzeczy nie należy.

— Cóż się z nim stało? — spytała Synnöwe.

— Hm... to właśnie... w tym sęk... — powiedział ojciec i spojrzał na matkę. Siedziała oparta o poręcz krzesła i patrzyła zadumana na oboje.

— Czy był bardzo nieszczęśliwy? — szepnęła Synnöwe cichutko.

— Trzeba tam kończyć, gdzie powinien być koniec! — zawyrokowała matka i wstała od stołu. Ojciec i Synnöwe poszli za jej przykładem.

VIII

W kilka tygodni potem wczesnym rankiem sposobili się wszyscy mieszkańcy Solbakken, by iść do kościoła. Był to dzień konfirmacji. Tego roku wypadł nieco wcześniej niż zazwyczaj. Przy takich okazjach zamykano szczelnie domy, gdyż wszyscy chcieli być w kościele. Nie zamierzano jechać, bo było pogodnie, a chociaż wczesnym rankiem dał zimny wiatr, dzień zapowiadał się piękny, słoneczny.

Droga wiała się w zakrętach po dolinie i wiodła tuż pod Granlien, koło którego skręcała w prawo. O dobry kwadrans dalej stał kościół. Żniwa pokończono. Wszędzie widniały sterty i półkopki, bydło także wróciło z hal i pasło się teraz po łąkach i miedzach pokrytych długą, świeżą trawą. W miejscach piaszczystych i na jałowiznach przeświecała szara barwa kamieni i ziemi. Wokoło roztaczały się wielobarwne lasy. Brzozy miały już chorobliwie szarawe liście, jawory i klony błyszcząły żółtawo, jarzębina z liśćmi na poły już zasuszonymi przyciągała wzrok piękną czerwienią swych jagód. Przez kilka dni padał deszcz, toteż krzewy przydrożne, zwykle zakurzone, były teraz czyste, wymyte i lśniące.

Ściany skalne przybrały wygląd ponury i groźnie patrzyły w dolinę. Jesień ogołociła je z przystroju liści i krzaków i obnażyła ich surowe oblicza. Potoki górskie wezbrały. Gdy w lecie czasem tylko objawiały swe istnienie, teraz szumiały wesoło i dążyły spienione ku dolinie. Potok granliński toczył swe nurty z większą powagą, zwłaszcza w miejscu, gdzie pozostawił za sobą skały, które nie chciały mu dalej towarzyszyć.

Torbjörn, jego rodzice, rodzeństwo i wszyscy domownicy wyszli właśnie z domu i skierowali się w stronę kościoła. Torbjörn odzyskał zupełnie siły i mógł dzielnie pomagać ojcu w pracy. Byli ciągle ze sobą i nie rozłączali się ni na chwilę.

— Zdaje mi się — rzekł ojciec — że tuż za nami idą wszyscy mieszkańcy Solbakken.

Torbjörn obejrzał się, a matka powiedziała:

— Tak, to pewnie oni... ale nie widzę dobrze... tak, to oni...

Od tej chwili nie wiadomo, czy Granlienowie zaczęli iść sporzej, czy Solbakkenowie zwolnili kroku, dosyć, że odległość dzieląca ich wzrastała ciągle i po krótkim czasie ledwo się mogli wzajem dostrzec w dolinie.

Cała droga roiła się od ludzi... Szli, jechali konno lub na wozach. Konie, czasu jesieni dobrze żywione i nienawykłe do liczniejszego towarzystwa, były niespokojne i brykały, co utrudniało, ale zarazem i urozmaicało jazdę.

Im bliżej kościoła, tym większy hałas czyniły konie. Każdy nowo przybyły witał inne rżeniem, a one odpowiadały podobnie, szarpały trzęzle i stawały dęba. Wszystkie psy całej doliny w ciągu ubiegłego tygodnia siedziały samotne po domach, naszczekując i warcząc na siebie oraz wzywając się do walki. Teraz, dzięki spotkaniu pod kościołem, mogły się rzucić do zaciętego boju parami lub całymi gromadami i to na szerokiej arenie pól.

Ludzie stali spokojnie pod domami i wzdłuż muru kościelnego, rozmawiali półgłosem, spozierając na siebie tylko ukradkiem. Droga pod murem nie była zbyt szeroka, a domy przeciwległe przytykały do siebie. Kobiety stały z reguły pod murem, a mężczyźni naprzeciw nich tuż pod domami. Dopiero postawszy tak dobrą chwilę, uważali za stosowne zbliżyć się ku sobie. Nawet dobrym znajomym, gdy ujrzeli się z pewnej odległości, etykieta chłopska nie zezwalała powitać się od razu. Musieli poczekać na sposobny moment. Jeśli nowo przybyły stanął tak blisko znajomego, że w żaden sposób nie mógł uniknąć pozdrowienia, natenczas witał się z nim tylko boczkiem, zaledwie kilku słowy i szedł w swoją stronę.

Z przybyciem Granlienów uczyniło się jeszcze ciszej niż było przedtem. Sämund nie miał wielu znajomych, przeto przeszedł szybko wzdłuż szeregu. Ingeborga z córką zatrzymały się zaraz przy pierwszych kobietach. Zdarzało się, że gdy był czas iść do kościoła, mężczyźni musieli szukać swych kobiet.

Wtem nadjechały trzy wozy, nie zatrzymując się prędzej, aż konie wpadły w tłum.

Sämund i Torbjörn, których omal nie przejechano, spojrzeli równocześnie na przybyłych. W pierwszym wozie siedział Knut Nordhaug i jakiś staruszek, w drugim jego siostra ze swoim mężem, w trzecim zaś służba folwarczna.

Ojciec i syn spojrzeli po sobie. Sämund ani drgnął, Torbjörn zbladł. Odwróciwszy głowy, ujrzeli Solbakkenów, którzy stali bardzo blisko i witali się z Ingeborgą i Ingrid. Ale wozy rozdzieliły ich, rozmowa się urwała, wszyscy patrzyli za odjeżdżającymi i dopiero po długiej chwili wszystko wróciło do porządku. Wodząc tu i ówdzie oczyma, by tymczasem znaleźć dalszy wątek, Solbakkenowie spostrzegli Sämunda i Torbjörna stojących teraz w pobliżu. Guttorm przyjętym obyczajem odwrócił głowę, ale jego żona wlepiła oczy w Torbjörna, by widzieć czy patrzy na Synnöwe.

Synnöwe, dostrzegłszy go, zwróciła się do Ingrid i ścisnęła ją za rękę, mimo że już przedtem się powitały. Nagle obie strony zauważyły, że służba ich i znajomi patrzą na to, co czynią, przeto Guttorm zbliżył się do Sämunda i odwracając twarz, powiedział:

— Witam cię!

— I ja także! — odrzekł Sämund.

Potem Sämund zwrócił się do żony Guttorma i rzekł do niej również:

— Witam!

— Dziękuję... — odpowiedziała krótko, nie podnosząc oczu.

Torbjörn, idąc za przykładem ojca, składał podobne pozdrowienia.

Sämund stanął z kolei przed Synnöwe i na nią pierwszą spojrział. I ona patrzyła na niego tak ciekawie, że zapomniała nawet odpowiedzieć na pozdrowienie. Teraz zbliżył się do niej Torbjörn.

Nie powiedział nic i ona nic nie powiedziała, podali sobie ręce bez uścisku. Żadne nie śmiało podnieść oczu, stali jakby przykuci do ziemi.

— Będziemy mieli piękną pogodę! — zauważyła Karen Solbakken i spojrzała bystro na młodych.

Obyczaje, Grzeczność

— Owszem! — odrzekł Sämund. — Ten wiatr rozpędził chmury.

— Korzystne to dla zboża, które jeszcze leży w kopach i musi wyschnąć! — powiedziała Ingeborga Granlien, gładząc surdut męża, jak gdyby ocierała pył.

— Bóg nie odmówił nam tego roku pięknej pogody, ale nie wiadomo, czy wszystko da się sucho zwieźć pod dach! — zauważyła Karen Solbakken, spozierając na Torbjörna i Synnöwe, którzy nie ruszyli się dotąd z miejsca.

— To zależy od liczby robotników! — odparł Sämund i stanął tak, że zasłonił jej widok na dwoje młodych. — Zawsze byłem tego zdania, że byłoby dużo lepiej, gdyby kilku właścicieli połączyło w jedno swe siły!

— Ale przecież każdy z nich chce dla siebie przede wszystkim wykorzystać pogodę! — odparła Karen i przesunęła się cokolwiek w bok.

— To prawda! — przyświadczyła Ingeborga i stanęła przy mężu w ten sposób, że znowu zasłoniła młodych przed oczyma Karen. — To prawda — powtórzyła — ale w Solbakken zboże dochodzi o całe dwa tygodnie wcześniej i tak bywa w różnych miejscach.

— A więc — rzekł Guttorm powoli, z naciskiem — moglibyśmy sobie wzajemnie pomagać! — Karen spojrzała nań, a on dodał: — Niestety, często człowiek natrafia na przeszkody!

— O tak! — odrzekł Sämund. — Przeszkód nie braknie temu, kto ich szuka! — Mimo woli usta złożyły mu się do uśmiechu.

— To prawda! — przyświadczył Guttorm.

Ale jego żona przerwała mu nagle:

— Siła ludzka nie sięga daleko. Wszystko w rękę Boga!

— Przecież — zauważył Sämund — Bóg nie może mieć nic przeciwko temu, byśmy sobie wzajem pomagali przy żniwach w Solbakken i Granlien?

— O nie! — zawołał Guttorm. — Ręczę, że nic przeciw temu nie ma! — Tu spojrział surowo na swą połowicę.

Skierowała ona zaraz rozmowę na inne tory.

— Jakże dużo ludzi przybyło dziś do kościoła! To bardzo miło patrzeć na pełny dom boży!

Nikt nie miał jakoś ochoty podejmować tego tematu, przeto Guttorm sam odpowiedział:

— Wydaje mi się, że wiara i nabożność się wzmaga. Za moich młodych lat bywało mniej ludzi po kościołach!

— Tak — przyznał Sämund. — Ale i ludzi coraz to więcej przybywa na świecie!

— Jest pomiędzy nimi — podjęła Karen — dużo takich, co przychodzą jeno dla zwyczaju i z nawyku.

— Zapewne młodzi — odparła Ingeborga.

— Młodzi radzi się spotkać! — odparł Sämund.

Karen po raz drugi zmieniła temat:

— Czy wiecie, że nasz pastor ogląda się za inną parafią?

— To szkoda! — zawołała Ingeborga. — Chrzcił on i konfirmował wszystkie moje dzieci!

— A chciałabyś może — dodał mąż — by im dawał śluby?

— Dziwi mnie — zauważyła Karen, spojrzawszy na zegar kościelny — że dotąd nie zaczęło się nabożeństwo!

— O tak! — odrzekł z uśmiechem Sämund. — Tu przed kościołem zrobiło się dziwnie gorąco.

— Chodź, Synnöwe! — zawołała Karen córkę. — Wejdzimy do środka!

Synnöwe rozmawiająca z Torbjörnem drgnęła na głos matki.

— Czy nie lepiej poczekać, aż zadzwonią? — zdumiała się Ingrid i spojrzała z ukosa na Synnöwe.

— O tak! — potwierdziła Ingeborga. — Wejdzimy razem!

Synnöwe nie wiedziała, co mówić. Sämund zwrócił się do niej.

— Czekaj! — rzekł. — Niedługo ci zadzwonią!

Synnöwe zaczerwieniła się, matka rzuciła jej surowe spojrzenie, ale Sämund uśmiechnął się do niej.

— Wszystko się stanie, jak Bóg zechce! Wszak słyszeliśmy to przed chwilą! — powiedział Sämund i nie chcąc oponować dłużej, postąpił ku kościołowi.

U wnijsia był wielki ścisk, a gdy się lepiej rozejrzeli, okazało się, że kościół jest jeszcze zamknięty. W chwili gdy rozpytywali o powód, otwarto drzwi i wszyscy weszli do wnętrza. Ale niektórzy zaraz zawrócili, przeto porozdzielano osoby stojące razem.

Pod samą ścianą stało dwoje ludzi, rozmawiając ze sobą. Jeden miał zwichrzone włosy i perkaty nos. Był to Knut Nordhaug. Spozrzegłszy Granlienów, przestał mówić i zmieszał się nieco, ale nie ruszył się z miejsca.

Sämund musiał go minąć pierwszy i spojrział nań ostro. Ale Knut nie spuścił oczu, mimo że mu mina zrzędła. Po Sämundzie szła Synnöwe. Ujrzawszy nagle Knuta, zbladła. Spuściła oczy i uczyniła ruch, jakby chciała uciekać. Zaledwie postąpił o krok, uczył utkwione w siebie cztery pary oczu: Guttorma, Ingeborgi, Ingrid i Torbjörna. Chciał usunąć się w bok, ale ludzie cisnęli się, więc nie mógł tego zrobić. Stali wszyscy na kamiennej posadzce, Synnöwe na progu kruchty, gdzie składano zazwyczaj ciupagi przed nabożeństwem, a nieco w głębi przy niej Sämund. Wszyscy tedy stali wyżej niż tłum, byli widzialni dla innych i mogli wszystko objąć wzrokiem.

Synnöwe, zapominając o całym świecie, wpatrzona była w Torbjörna, który to czuł i stał jak skamieniały. Knut zrozumiał, że coś uczynić wypada i wyciągnął rękę. Torbjörn również wyciągnął swoją, ale nie sięgnął ręki Knuta.

— Dziękuję za... — zaczął Knut, ale spozrzegłszy, że pozdrowienie to nie jest wcale na miejscu, cofnął się.

Torbjörn spojrział na Synnöwe, a widząc jej bladość, uczynił krok naprzód, chwycił mocno dłoń Knuta i powiedział głośno, tak że wszyscy słyszeli:

— Witam cię, Knucie! Dobrze, że możemy się pogodzić. To, co się stało, stało się z woli bożej!

Knut wydał głos podobny do łknięcia i otworzył kilka razy usta, by coś powiedzieć, lecz mu się to nie udało. Torbjörn, nie mając już nic do powiedzenia, stał i czekał. Ale gdy Knut mocował się ze słowami, wypadła Torbjörnowi z ręki książka do nabożeństwa. Knut pochylił się bez namysłu, podniósł i podał mu.

— Dziękuję! — powiedział Torbjörn, który również się schylił. Spojrział na Knuta, ale widząc, że spuścił oczy, ruszył naprzód, aby go nie upokarzać dłużej.

Inni oddalili się również i zajęli miejsca. Gdy Torbjörn po chwili spojrział ku ławce kobiet, dostrzegł nie tylko wzrok matki i jej serdeczny uśmiech, ale, co więcej, zauważył, że Karen Solbakken czeka wyraźnie, na to, by na nią popatrzeć. Gdy to uczynił, wpadł w niezmierne zdumienie, bo oto Karen kiwnęła mu przyjaźnie głową aż trzy razy. Otworzył oczy szeroko, a ona chcąc go upewnić, że to jego dotyczy, znowu skinęła mu trzy razy głową i to jeszcze uprzejmie.

W tej chwili posłyszał głos Sämunda, który mu szepnął do ucha:

— Byłem pewny, że tak uczynisz!

Wstępna modlitwa została odmówiona, odśpiewano psalm, a konfirmanci ustawili się w szeregach. W tej chwili Sämund szepnął znowu synowi:

— Ale Knutowi trudno się będzie poprawić, przeto pamiętaj, że z Granlien do Nordhaug dla ciebie daleka droga!

Uroczystość konfirmacji rozpoczęła się. Pastor wystąpił naprzód, dzieci zanuciły pieśń konfirmacyjną. Pełne, dźwięczne tony pieśni porwały wszystkich, zwłaszcza starszych, którzy tak daleko zaszli na drodze życia, że zapomnieli już dnia swojej konfirmacji.

Jeszcze większe wrażenie uczyniła przemowa pastora, starego pastora, który od kilkudziesięciu lat co roku dokonywał tego obrzędu, wiodąc pokolenia drogą cnoty i bojaźni bożej.

Torbjörn, któremu niedawno groziła śmierć, wzruszył się, słysząc ślubowanie dzieci, i złożył również przyrzeczenie poprawy życia.

Ani razu nie spojrział ku ławce kobiet, dopiero po skończonym nabożeństwie zbliżył się do Ingrid i coś jej szepnął do ucha. Potem przecisnął się szybko przez tłum i znikł. Mówili ludzie, że miał iść drogą, poszedł polami ku lesistym wzgórzom, ale nikt nie był pewny, czy tak było w istocie.

Sämund szukał go, ale dał spokój, przekonawszy się, że Ingrid również znikła. Potem obejrzał się za Solbakkenami, którzy ze swej strony rozpytywali wszystkich sąsiadów, czy

któryś z nich nie wie, gdzie się podziała Synnöwe. Z konieczności musieli rodzice, każda para z osobna, udać się do domu.

Tymczasem Synnöwe i Ingrid wyprzedziły ich znacznie.

— Żałuję, że poszła — powiedziała Synnöwe.

— Cóż w tym może być złego! — odparła Ingrid. — Wszakże ojciec wie o wszystkim!

— Tak! — zauważyła Synnöwe. — Ale w każdym razie nie mój ojciec!

— Któż wie, czy także nie twój! — zaśmiała się Ingrid i nie poruszano już tego tematu.

— Zdaje mi się, że tu miałyśmy zaczekać! — rzekła Ingrid, kiedy znalazły się na skrócie drogi pośród gęstego lasu.

— On musi bardzo nadłożyć drogi! — zauważyła Synnöwe.

— Już jestem — ozwał się Torbjörn, wychodząc spoza dużego skalnego załomu.

Ułożył sobie dokładnie w głowie, co ma mówić, a była to sprawa niemała. Dzisiaj, jak mniemał, pójdzie to łatwiej niż kiedy indziej. Wszakże ojciec był po jego stronie, widział to wyraźnie w kościele. Najoczywiej zyczył sobie tego. Przez całe lato Torbjörn marzył o tej rozmowie z Synnöwe. Tak, niezawodnie, jeśli kiedy, to właśnie dzisiaj zdobędzie się na odwagę.

— Chodźmy ścieżką przez las! — powiedział. — To najbliższa droga do domu!

Dziewczęta nic nie odrzekły, ale usłuchały go.

Torbjörn miał niezłomne postanowienie rozpoczęcia rozmowy, ale nie chciał zaczynać od razu. „Aż nie wyjdziemy na wzgórze”, myślał. Potem chciał przystąpić do rzeczy, gdy miną bagno leśne. Ale dawno byli na wzgórzu i minęli bagno, a on milczał. Postanowił zaczekać, aż się znajdą głębiej w lesie.

Ingrid zauważyła, że sprawa postępuje zbyt opieszale, przeto szła coraz to wolniej, zostawała w tyle i w końcu znikła im z oczu. Synnöwe nie zwróciła jakoś na to uwagi, że nie ma przyjaciółki. Przystawała co kilka kroków i schylała się po jagodę.

„Dziwnie by to było, gdybym się nie zdobył na gadanie!” — pomyślał Torbjörn i zaczął zaraz:

— Piękna dzisiaj pogoda!

— Prawda! — odparła Synnöwe.

Znow uszli kawałek drogi, a ona zbierała wciąż jagody.

— Bardzo się cieszę, że się zgodziła na tę przechadzkę! — powiedział.

Szła w milczeniu.

— Mieliśmy tego roku długie lato...

Znowu nic nie odrzekła.

„Z tego nic! — pomyślał. — Póki idziemy, trudno mówić!” — i dodał głośno:

— Może zaczekamy tutaj na Ingrid?

— Zaczekajmy! — zgodziła się Synnöwe, przystając.

W miejscu tym nie było jagód, po które by się mogła schylać, spostrzegł to dobrze. Mimo to pochyliła się, zerwała długie, cienkie źdźbło i zaczęła z wielką uwagą nawlekać nań jagody.

— Przypomniał mi się dzisiaj w kościele żywo ów dzień, kiedyśmy razem odbywali naszą konfirmację.

— O, pamiętam to doskonale! — powiedziała.

— Od tego czasu zmieniło się wiele! — zauważył, a gdy milczała, dodał: — Przeważnie wszystko poszło inaczej, niżśmy pragnęli!

Synnöwe pochyliwszy głowę wciąż nawlekała jagody na źdźbło.

Zaszedł z boku, by spojrzeć jej w oczy, ale przeczuwając ten zamiar, odwróciła szybko głowę w drugą stronę.

Zaczął się bać, że do niczego nie doprowadzi i powiedział:

— Synnöwe! Miałaś mi coś powiedzieć!

Spojrzała nań i roześmiała się.

— Ja? Cóż bym ja miała ci powiedzieć?

Czuł, że powraca mu odwaga. Chciał ją objąć ramieniem, ale w chwili, kiedy się zbliżył, zląkł się i odezwał się trwożnie:

— Wszakże Ingrid mówiła z tobą?

— Mówiła! — odrzekła Synnöwe.

— Więc masz mi coś do powiedzenia!

Milczała.

— Powiedz! — prosił i zbliżył się.

— Lepiej ty powiedz! — rzekła i odwróciła twarz.

— Dobrze! — chciał chwycić jej rękę, ale zajęła się znowu gorliwie nawlekaniem jagód.

— Straszna to rzecz, że ty mnie tak onieśmielasz!

Zdawało mu się, że się uśmiechnęła, i znowu nie wiedział, co mówić dalej.

— Ostatecznie — wykrzyknął głośno, chociaż niepewnym głosem — powiedz, coś zrobiła z ową kartką?

Odwróciła się odeń w milczeniu. Przystąpił, otoczył ją ramieniem i poprosił szeptem:

— Powiedz!

— Spaliłam ją!

Pochwyił ją szybko, odwrócił jej twarz ku sobie, ale widząc, że się zaraz rozplacze, puścił ją.

„To dziwne — pomyślał — że jej tak łyzy na zawołanie przychodzą!”

Stali chwilę obok siebie. Nagle spytała Synnöwe:

— Czemu napisałaś tę kartkę?

— Ingrid ci mówiła! — odparł.

— To było z twojej strony okrucieństwo!

— Ojciec kazał.

— Mimo to...

— Myślał, że zostanę kaleką na całe życie. „Odtąd”, powiedział, Ja będę na ciebie pracował!”

Ingrid ukazała się w dali. Ruszyli tedy z miejsca.

— Nigdy cię bardziej nie kochałem, jak wówczas, gdy cię uważałem za straconą!

— Najlepiej się człowiek poznaje, kiedy jest sam! — odparła.

— Tak! Wówczas poznajemy, kto ma nad nami największą władzę! — powiedział poważnie, głośno i kroczył śmiało obok niej.

Już nie zbierała jagód.

— Może chcesz jagód? — spytała, podając mu dłoń.

Chwyił tę dłoń pełną jagód i powiedział drżącym głosem:

— A więc niech będzie, jak być miało przed napisaniem tej kartki.

— Niech będzie... — odparła szeptem i odwróciła się od niego.

Szli znów obok siebie, nic nie mówiąc i dziwne, że póki milczała, nie miał odwagi dotknąć jej ani wyrzec słowa. Ale czuł się niezmiernie lekki, wesoły, a nawet odczuwał zawrót głowy. Drżały mu przed oczyma przedmioty, a kiedy dostali się na wzniesienie, skąd można było objąć wzrokiem całe Solbakken, wydało mu się, że spędził tam całe życie... Ciągnęło go tam jak do własnej ojcowizny.

„Pójdę tam z nią razem!” — pomyślał, a odwaga jego wzrastała, im dłużej patrzył na Solbakken. Postanowienie jego wzmacniało się z każdym krokiem.

„Ojciec mi pomoże — myślał. — Dłużej nie wytrzymam! Muszę tam iść, muszę!” — Szedł coraz raźniej, a wszystko wokół wydało mu się światłością i szczęściem.

Tak! To się musi stać dzisiaj! Szkoda każdej godziny! Uczuł się tak silny, że nie wiedział, jak wyładować nadmiar tej mocy.

— Uciekasz ode mnie? — zawołała nagle Synnöwe, nie mogąc dotrzymać mu kroku.

Zwrócił się ku niej zawstydzony i zbliżał się z wyciągniętymi rękami myśląc: „Uniosę ją w górę!”.

Ale gdy był blisko, nie zrobił tego.

— Czy idę za prędko? — spytał.

— Tak — odrzekła. — Pędzisz bez zastanowienia!

Znaleźli się na drodze i nagle Ingrid, której nie widzieli wcale, zjawiła się tuż za nimi.

— Teraz nie powinniście iść sami — powiedziała.

Torbjörn drgnął. Rozstanie zaskoczyło go zbyt nagle. I Synnöwe uczuła żal.

— Miałem ci tyle do powiedzenia! — szepnęła.

Synnöwe uśmiechnęła się mimo woli.

— No, odłóżmy to do innego razu! — zgodził się, ściskając jej rękę.

Spojrzała nań tak serdecznie, że uczyniło mu się gorąco w sercu i strzeliła mu znowu myśl: „Zaraz pójde do niej!”. Ale Synnöwe cofnęła delikatnie rękę, zwróciła się do Ingrid, pożegnała się z nią i poszła z wolna do domu. Torbjörn nie udał się za nią.

Szli teraz oboje z siostrą przez las ku domowi.

— Nagadaliście się do syta? — spytała Ingrid.

— Nie... czasu nie stało! — odrzekł i kroczył żwawo, chcąc uniknąć pytań.

— No i cóż? — ozwał się Sämund, spozierając sponad stołu, gdy oboje weszli do pokoju.

Torbjörn nie odpowiedział, tylko zbliżył się do ławy przeciwległej i zdjął kaftan. Ingrid szła za nim uśmiechnięta. Sämund jadł dalej, spoglądając od czasu do czasu z uśmiechem na Torbjörna, który wydawał się bardzo zajęty.

— Chodź jeść! — powiedział ojciec. — Zupa stygnie!

— Dziękuję! Nie jestem głodny! — odrzekł Torbjörn i siadł przy stole.

— Tak? — zdziwił się Sämund i jadł dalej. Po chwili zauważył: — Uciekliście z kościoła jak oparzeni!

— Musieliśmy z kimś pomówić — rzekł Torbjörn.

— No... i pomówiliście?

— Nie... tak, trochę!

— Trochę?... — powtórzył Sämund, jedząc. Skończył, wstał, podszedł do okna i przez chwilę wyglądał. Potem obrócił się i powiedział:

— Słuchaj, chłopcze! Pójdziemy w pole zobaczyć, jak tam wygląda!

Torbjörn zerwał się natychmiast.

— No... ale ubierz się przecież! — powiedział ojciec. Torbjörn sięgnął po stary kaftan wiszący nad jego siedzeniem na ścianie.

— Widzisz przecież, że ja mam na sobie nowy kaftan!

Torbjörn ubrał się również w nowy kaftan i wyszli. Ojciec przodem, syn za nim. Poszli drogą ku dolinie.

— Czy nie lepiej zacząć od owsa? — spytał Torbjörn.

— Nie, zaczniemy od pszenicy! — zawyrokował Sämund.

Po chwili ujrzeli wóz posuwający się z wolna.

— To ktoś z Nordhaug! — zauważył Sämund.

— Nowożeńcy! — dodał Torbjörn.

Wóz stanął zrównawszy się z nimi.

— To dumna sztuka ta Marit! — szepnął Sämund, patrząc na kobietę siedzącą na wozie. Miała na głowie chustkę, drugą na ramionach. Spoglądała spokojnie, a na twarzy jej nie było widać najlżejszego zmieszania. Mąż jej za to był blady, przygnębiony. Rysy jego były jeszcze bardziej łagodnie niż zwykle, jak to bywa u ludzi, których nęka jakaś tajona troska.

— Oglądacie zbiory? — spytała.

— Tak! — odparł Sämund.

— Dobrze wypadły tego roku.

— O, tak! Mogło być gorzej. Późno wracacie z kościoła!

— Było dużo znajomych... musieliśmy się pożegnać.

— Jak to? Czy wyjeżdżacie?

— Ja wyjeżdżam... — rzekł nowożeniec.

— Daleko?

— O... dosyć!

— Dokądże to?

— Do Ameryki.

— Do Ameryki? — wykrzyknęli obaj. — Dopiero co po ślubie...

Młody człowiek uśmiechnął się.

— Zda się, że będę musiał tu pozostać czas jakiś ze względu na nogę, powiedział lis wpadłszy w samotrask!

Marit spojrzała na męża, potem na Sämunda i Torbjörna, lekki rumieniec przebiegł jej twarz, która nawet nie drgnęła.

— Żona pewnie też jedzie? — rzekł Sämund.

— Nie... zostaje.

— W Ameryce łatwo dojść do czegoś... — zaczął Torbjörn, czując, że nie należy przerywać w tym miejscu rozmowy.

— Pewnie... — potwierdził nowożeniec.

— Ale Nordhaug to wspaniała posiadłość... — zauważył Sämund.

— Za dużo tam ludzi... — odrzekł tamten i popatrzył na żonę. — Jeden zawadza drugiemu — dodał.

— Ano, to szczęśliwej drogi! — powiedział Sämund i podał mu rękę. — Niech ci Bóg da to, czego pragniesz!

Torbjörn spojrział bystro na dawnego kolegę szkolnego i powiedział:

— Nim pojedziesz, chciałbym z tobą pomówić!

— Bardzo to miło móc z kimś pocziwie pogadać! — odrzekł, kreśląc biczyskiem jakieś znaki na dnie powózki.

— Wpadnij do nas! — ozwała się Marit.

Obaj spojrzeli na nią zdumieni. Nie przypuszczali, że może przemawiać tak miło.

Wóz ruszył w dalszą drogę. Nie spieszo im było, lekka chmurka kurzu otaczała ich powózkę. W blasku słońca jej jedwabna chustka kontrastowała jaskrawo z jego ciemnym ubraniem. Za chwilę zniknęli za pagórkiem.

Ojciec i syn szli długo w milczeniu.

— Zdaje mi się, że on nie wróci tak prędko — ozwał się Torbjörn.

— Tak będzie zapewne najlepiej! — odparł Sämund. — Szczęścia musi szukać na obczyźnie, kto go nie ma w domu.

I znów szli, nic nie mówiąc.

— Minęliśmy łąn pszenicy — rzekł Torbjörn.

— To nic! Obejrzymy za powrotem.

Szli dalej, a Torbjörn nie pytał, dokąd idą, gdy minęli granicę Granlien.

IX

Guttorm i Karen Solbakken skończyli właśnie jeść, gdy Synnöwe wpadła do pokoju zdyszana i zarumieniona.

— Gdzieś to była, drogie dziecko? — zawołała Karen.

— Rozmawiałam z Ingrid! — odrzekła Synnöwe, zdejmując z głowy chustkę.

Ojciec tymczasem szukał w szafie jakiejś książki.

— O czym też mogłyście rozmawiać, że trwało to tyle czasu?

— O... niczym ważnym.

— Lepiej było trzymać się nas! — mówiła matka, przynosząc jej jedzenie.

Synnöwe siadła przy stole, a matka naprzeciw niej i ciągnęła dalej:

— Czy był kto jeszcze przy tej rozmowie?

— Owszem — przyznała Synnöwe.

— Nie zabraniajże jej rozmowy z ludźmi! — ozwał się w tej chwili ojciec.

— Bynajmniej jej tego nie zabraniam! — odrzekła matka nieco łagodniej. — Ale przecież powinna była towarzyszyć rodzicom.

Na to nikt się nie odezwał.

— Ślicznie dziś było w kościele! — zaczęła znowu Karen. — Widok młodzieży na kościelnej uroczystości sprawia człowiekowi radość!

— Tak! — przyświadczył Guttorm. — Przypomina się uroczysty dzień konfirmacji własnych dzieci!

— Słusznie mówisz! — westchnęła Karen. — Nie wiadomo, jaki los je czeka.

Nastąpiło długie milczenie.

— Powinniśmy dziękować Bogu — zauważył wreszcie Guttorm — pozostawił nam jedno dziecko!

Matka spuściła głowę, gładząc płytę stołu.

— To nasza cała pociecha! — szepnęła. — Dobra i pocziwa — dodała jeszcze ciszej.

Zamilkła znowu.

— Doznaliśmy z jej strony dużo radości! — ozwał się Guttorm. — Niech jej Bóg da szczęście! — dodał po chwili ze wzruszeniem.

Łzy ukazały się w oczach matki. Jedna spadła na stół, a ona starła ją szybko swym palcem.

— Czemu nie jesz? — spytała po chwili, spojrzawszy na córkę.

— Dziękuję! Nie głodnam! — odrzekła Synnöwe.

— Nic prawie nie jadłaś! A przecież odbyłaś taki kawał drogi.

— Nie mogę jeść! — powiedziała dziewczyna, skubiąc koniec chustki.

— Jedz... jedz... drogie dziecko! — zachęcał ojciec.

— Nie mogę! — powtórzyła i zaczęła płakać.

— Ależ, kochanie, czemu płaczesz?

— Nie wiem... — zaszlochała.

— O byle co zaraz płacze! — rzekła matka.

Ojciec wstał i podszedł do okna.

— Idzie w naszą stronę dwóch mężczyzn — powiedział.

— Doprawdy? Do nas? — spytała matka i zbliżyła się także.

Patrzyli przez chwilę w milczeniu.

— Któż to być może? — powiedziała Karen, ale w głosie jej nie brzmiało pytanie.

— Nie wiem! — odparł Guttorm, przyglądając się zbliżającym.

— Nie mogę pogodzić jednego z drugim! — ozwała się Karen. — Nie rozumiem...

— I ja nie!

Przybysze zbliżyli się.

— Tak, to pewnie oni! — powiedziała na koniec Karen.

— I ja tak myślę — przyświadczył mąż.

Mężczyźni zbliżali się coraz bardziej. Starszy przystanął i rozglądał się wokoło, młodszy uczynił to samo, potem ruszyli dalej.

— Czy masz wyobrażenie, czego mogą chcieć? — zapytała Karen znowu tym samym tonem, co poprzednio.

— Nie... pojęcia nie mam! — odparł Guttorm.

Karen podeszła do stołu, zebrała talerze i szybko doprowadziła w pokoju wszystko do porządku.

— Włóż chusteczkę na głowę, Synnöwe! — powiedziała. — Przecież nadchodzą goście!

Ledwo wymówiła te słowa, drzwi otwarty się i Sämund wraz z Torbjörnem weszli do izby.

— Błogosławieństwo temu domowi! — rzekł Sämund głośno, stając przy drzwiach, potem zbliżył się i pozdrowił obecnych. To samo uczynił Torbjörn.

Na samym końcu zbliżyli się do Synnöwe stojącej w kącie z chustką w ręku. Nie wiedziała, czy ma ją zarzucić na głowę, czy nie, nie wiedziała może nawet, że trzyma ją w ręku.

— Prosimy... siadajcież! — powiedziała matka do przybyłych.

— Dziękujemy! — odparł Sämund. — Wprawdzie niedaleką mieliśmy drogę... — nie dokończywszy zajął miejsce, a obok niego usiadł Torbjörn.

— Straciliśmy was dzisiaj całkiem z oczu, wracając z kościoła! — powiedziała Karen.

— Tak! I ja oglądałem się za wami! — odrzekł Sämund.

— Tyle dziś było ludzi! — dodał Guttorm.

— Mnóstwo! — przytakiwał Sämund. — Śliczna to była uroczystość!

— Właśnie dopiero co mówiliśmy o tym — odparła dobrotliwie Karen.

— Dziwnie się robi człowiekowi, gdy patrzy na te dzieci w kościele... — dodał Guttorm.

Karen usiadła na ławie.

— To prawda! — potwierdził Sämund. — Człowiek zaczyna się wówczas zastanawiać poważnie nad własnymi dziećmi. I właśnie z tego powodu przybyłem tutaj pod wieczór — dorzucił.

Spojrzał uroczyście wokoło, wyjął z ust prymkę tytoniu, włożył ją starannie do puszeki i wziął nową.

Guttorm, Karen i Torbjörn oglądali się za czymś, na czym by spoczął ich wzrok.

— Uważałem — ciągnął dalej Sämund — że najlepiej będzie, gdy ja przyjdę tutaj z Torbjörnem, bo długo by pewnie trwało, nimby się sam odważył. Zresztą nie jestem zupełnie pewien, czy sam by potrafił rzecz wytłumaczyć.

Spojrzał ukradkiem na Synnöwe, która odczuła to spojrzenie.

— Sprawa się ma tak, że od chwili, kiedy młodemu takie rzeczy przychodzą do głowy, Torbjörn skierował swą uwagę na Synnöwe. Nie ulega też wątpliwości, że i dla niej nie był on obojętny. Przeto, jak sądzę, najlepiej będzie, jeśli się pobiorą... Nie byłem ja za tym w czasie, kiedy widziałem, iż sam nad sobą panować nie umie, więc jakże by zdołał panować nad innymi. Ale teraz, zdaje mi się, mogę za niego ręczyć, a jeśli nie mogę ja... to na pewno może to zrobić ona sama. Bo teraz ma nad nim największą władzę... Cóż myślicie, drodzy sąsiedzi, o tej sprawie? Czy mamy ich połączyć? Co prawda, nic nie nagli, ale jak sądzę, zwłóczyć także nie ma co. Ty, Guttormie, jesteś człek dostatni, ja, co prawda, nie tak dobrze się mam, ile że muszę dzielić to, co posiadam, ale zdaje mi się, że i tak da się to zrobić. Raczcież powiedzieć, co o tym myślicie... Ją spytam na samym końcu, bo jeśli mi się zdaje, wiem, czego ona pragnie.

Tak mówił Sämund. Guttorm siedział pochylony naprzód i przekładał jedną rękę na drugą. Raz po raz czynił wysiłki, by wstać z ławy i za każdym razem oddychał głęboko. Ale dopiero za piątym razem udało mu się wyprostować grzbiet. Wstał i gładził się po nogach, spoglądając to na żonę, to na córkę.

Karen nie ruszyła się z miejsca. Z wyrazu jej twarzy niczego nie było można wyczytać. Siedziała przy stole i wodziła po nim palcem, rysując rozmaite figury.

— Tak... zaprawdę... jest to piękny projekt... nie można powiedzieć... — zaczęła.

— I powinniśmy, moim zdaniem, podziękować i przystać! — oświadczył Guttorm głośno i wyraźnie, po czym odetchnął, jakby mu kamień spadł z serca. Spoglądał teraz raz po raz na żonę i Synnöwe, która skrzyżowała ręce na piersiach i oparła się o ścianę.

— Mamy tylko tę jedną córkę! — powiedziała Karen. — Musimy przeto mieć czas do namysłu.

— Jest na to rada! — rzekł Sämund. — Tylko nie wiem, co stoi na przeszkodzie odpowiedzi... rzekł niedźwiedz do chłopca, pytając, czy chce mu podarować jałówkę.

— Zdaje mi się — odezwał się Guttorm — że odpowiedź możemy dać zaraz!

Spojrzał na żonę.

— Jedną mam tylko wątpliwość — ozwała się, nie patrząc na męża — Torbjörn jest trochę awanturnikiem!

— Co do tego — stanął w jego obronie Guttorm — to zmienił się bardzo! Sama dziś mówiłaś...

— Gdyby mu można zaufać... — ozwała się wreszcie Karen.

— Tak! — zabrał głos Sämund. — Co się tego punktu tyczy, to muszę powtórzyć, co już mówiłem. Jazda będzie dobra, jeśli ona będzie miała cugle w ręku. Posiada ona nad nim niepojętą władzę. Zauważyłem to, kiedy leżał chory i nie wiadomo było, jak się skończy cała sprawa, czy wyjdzie, czy zemrze.

— Nie sprzeciwiaj się dłużej! — rzekł Guttorm do żony. — Wiesz sama, że ona tego chce, a my przecież żyjemy dla niej!

Synnöwe po raz pierwszy podniosła głowę i spojrzała na ojca z niewysłowioną wdzięcznością.

— No tak... — odparła Karen po krótkim milczeniu. Posunęła po stole palcem mocniej niż poprzednio. — No... tak... ja opierałam się tak długo tylko dla jej dobra... Nie jestem może tak surowa jak moje słowa!

Spojrzała na męża i uśmiechnęła się, ale w tej chwili oczy jej napełniły się łzami.

Guttorm rzekł:

— Tedy, dzięki Bogu, stało się to, czego od dawna najgoręcej pragnąłem na ziemi.

Podszedł do Synnöwe.

— Nigdy nie myślałem, by się to miało inaczej skończyć! — oświadczył Sämund, wstając z ławy. — Co ma być... być musi!

I również podszedł do Synnöwe.

— Cóż ty na to, drogie dziecko? — spytała matka, zbliżając się do niej także.

Synnöwe nie ruszyła się ze swego miejsca. Obstąpili ją wszyscy z wyjątkiem Torbjörna, który siedział ciągle tam, gdzie usiadł po przyjściu.

— Wstań, Synnöwe! — szepnęła jej Karen.

Wstała, uśmiechając się, a potem odwróciła się do ściany i zaczęła płakać.

— Niech cię Bóg ma w swej opiece, drogie dziecko, teraz i zawsze! — powiedziała Karen, objęła córkę i płakała razem z nią.

Mężczyźni oddalili się, każdy w inną stronę.

— Zbliź się do niego, Synnöwe! — powiedziała matka i popchnęła ją z lekka ku Torbjörnowi.

Synnöwe uczyniła jeden krok i stanęła. Nie była w stanie iść dalej. Wówczas Torbjörn zerwał się, przyskoczył i chwycił jej rękę, nie wiedział jednak, czy wypada mu czynić coś więcej i stał tak chwilę, aż cofnęła swoją dłoń.

Stali obok siebie, milcząc.

W tej chwili otworzy się cicho drzwi i ukazała się w nich czyjaś głowa.

— Jest tutaj Synnöwe? — spytał nieśmiały głos.

— Tak! Jest tutaj! Chodźże, Ingrid! — powiedział Guttorm.

Była to Ingrid Granlien. Ingrid wahała się.

— Chodź! Chodź! — zachęcał ją. — Już wszystko w porządku!

Wszyscy patrzyli na nią. Wydawała się ciągle zmieszana.

— Jest ktoś jeszcze w sieni! — powiedziała.

— Któż to? — spytał Guttorm.

— Mama! — odrzekła z cicha.

— Przyprawdźże ją! — krzyknęli wszyscy czworo, a Karen zbliżyła się do drzwi żwawo.

— Możesz, mamo, iść śmiało — powiedziała Ingrid. I zaraz weszła Ingeborga Granlien ubrana w biały świąteczny czepek.

— Domyślałam się — powiedziała — że na coś się zanosi, chociaż Sämund nic mi nie powiedział. I nie mogłyśmy obie z Ingrid wytrzymać, by nie przyjść tutaj.

— Właśnie dobrze się stało! — powiedział Sämund — bo sprawa poszła tak, jak sobie zawsze życzyłaś.

— Niech ci Bóg nagrodi — zwróciła się Ingeborga do Synnöwe — żeś go podniosła do siebie!

Objęła ją ramieniem i gładziła po włosach.

— Przetrzyzymałaś wszystko, drogie dziecko, i wygrałaś.

Pieściła ją i gładziła jej policzki i włosy. Łzy płynęły jej po twarzy, ale nie zważając na to, obcierała łzy Synnöwe.

— Dobrego dostajesz chłopca, Synnöwe, a to co w nim jest złego, to sama naprawisz. Już się o niego nie boję!

Przytuliła ją raz jeszcze do serca.

Po chwili płacz i wzruszenie ukończyły się i gospodyni domu pomyślała o wieczornym posiłku. Poprosiła Ingrid, by jej była pomocą, bo Synnöwe, jak mówiła, dzisiaj zupełnie do niczego.

Za chwilę gotowały różne przysmaki, a mężczyźni rozpoczęli poważną rozmowę o zbiorach, cenach i sprawach publicznych.

Torbjörn usiadł z dala od wszystkich przy oknie. Synnöwe zbliżyła się doń i położyła mu rękę na ramieniu.

— Na coś się tak zapatrzył? — spytała szeptem.

Zwrócił na nią oczy, patrzył długo i serdecznie, a potem znowu spojrzął w okno i powiedział:

— Patrzę na Granlien. Jakże dziwnie wygląda, jak całkiem inaczej, gdy nań patrzeć z Solbakken...

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/bjornson-dziewcze-ze-slonecznego-wzgorza>

Tekst opracowany na podstawie: Björnstjerne Björnson, *Dziewczę ze Słonecznego Wzgórza*, Marsz weselny, tłum. Franciszek Mirandola, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2002

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Żak, Aleksandra Sekuła, Marta Niedziałkowska.

ISBN 978-83-288-0083-0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.